Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 75 gr.

W NUMERZE:

26.X. 1952 — L. MAJ — W gminie Bystra — W. JANICZEK — W gminie Gromnik K. KORCELLI — Czarniecki i jego żołnierze A. JACHNINA — Tomasze-niedowiarki M. GRABOWSKA — „Serce mi pękało." J. DANECKI — Pionierzy kultury w terenie G. TIMOFIEJEW — Czytelnicy mówią o książkach K. KAŁCZEW — Widziałem Warszawę J. RURAWSKI — Trudności debiutu T KOWALCZYK — Teatr w Olbrachcicach Wielkich N. J. WAPCAROW — Wiersze T. CHYBA — W Żyrardowie F. KORWIN — Poeta walki

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX | Warszawa, dn. 2 listopada 1952 r. | Nr 44 (378)

NARÓD ZADECYDOWAŁ

Na 16.305.891 uprawnionych do głosowania głosowało 15.495.815

95,03% uprawnionych stanęło do urn wyborczych

99,8% głosów oddano na FRONT NARODOWY

W ten sposób wszyscy kandydaci na posłów i na zastępców posłów uzyskali wymaganą większość głosów, wszyscy zatem zostali wybrani do Sejmu Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

Zjednoczeni w szeregach Frontu Narodowego — idziemy naprzód do dalszych zwycięstw!

Rys. A. Kobzdej

ADAM SAR

NOTATKI Z OSTATNIEGO TYGODNIA

WIĄZOWNA WOLA, pow. Łask, 21 października

WIECZÓR. Z pola ściągają ostatnie furmanki pełne ziemniaków. Wykopki opóźnione w tym roku. Na niższych gruntach deszcze uniemożliwiły użycie kopaczki. Trzeba dziobać ręcznie i to nie w każdy dzień. Deszcz przeszkadza, Ziemniaki „kradnie się" z pola.

Zebrani w sali szkolnej chłopi medytują.

— Przyjadą, nie przyjadą

Przyjechali jednak.

Z mównicy czerwonym płótnem okrytej przemawia Władysław Wałęcki. Trzy naftowe lampy ustawione na prezydialnym stole oświetlają jego pokrytą zmarszczkami twarz i siwe włosy.

Chłopi słuchają. Siedzą w szkolnych ławkach. Stoi przed nimi człowiek, który w ustroju kapitalistycznym miał sobaczy los. Ale dopiero dziś dystans, jaki dzieli kandydata na posła od sieroty sypiającego na wyrku w kułackiej stajni — pozwala zrozumieć, cały ogrom krzywdy i cały ogrom awansu biedoty chłopskiej.

*

MĘKA, pow. Sieradz, 22 października

SKĄD się wzięła taka nazwa wsi, nikt nie wie.

Tak czy inaczej przestała być męką... Z gminy Woźniki, do której należy Męka, odeszło w okresie 8 lat powojennych 700 osób do innych nierolniczych zawodów. Coby to było, gdyby ci ludzie zostali na wsi?

— Ten argument trafia ludziom najbardziej do przekonania, opowiada o swoich wrażeniach z akcji agitacyjnej ZMP-owiec Józef Grobelny. Gdy się ludziom o tym mówiło, zaraz zaczynali liczyć, ile to od nich poszło z gromady do fabryk, ile do szkół, gdzie kto pracuje, ile zarabia... Tak było w Michałowie, w Piaskach, w Rzechcie, w Podłężycach.

Sprzedaliśmy 250 broszur, a potem 300. W ciągu tygodnia czterech młodych — Jadczak i Pająk z Rzechty a z Podłężyc Sitkowski i Świniarski zgłosili się do przemysłu metalowego. Wyjadą już 1 listopada.

— A wybory?

— Też pytanie — zaperzył się Grobelny. Czterysta kilkadziesiąt osób sprawdzało w Komisji Obwodowej, czy są na liście wyborców. Przed wojną był od nas posłem Bartczak z Szatków, bogaty młynarz.

— Pamiętacie?

— Skądże. Mały jeszcze byłem. Ale tu na wsiach o nim słyszałem. Ludzie pamiętają. Sam dużo się przez te kilka tygodni nauczyłem.

*

ŻYWOCIN, powiat Piotrków, 23 października

WCZTERY dni po zjeździe przodujących chłopów w Piotrkowie a na 3 dni przed wyborami zetknąłem się drugi raz z Józefem Węzerem. On również przywiózł z Piotrkowa dyplom uznania za patriotyczne wykonanie obowiązków wobec państwa.

— Nasz powiat pierwszy w województwie łódzkim został zwolniony od miarek i odsypów. I nasza gromada przyczyniła się do tego. W odstawie zboża dochodzimy już do 100 procent. A wybory? Nasze kartki będą ciężkie. Głosujemy nie tylko na ludzi. Głosujemy także na program. Nie tylko kartką wyborczą. Jakże byśmy mogli postąpić inaczej? Z powiatu piotrkowskiego kilka tysięcy ludzi ze wsi znalazło pracę w przemyśle. Ponad tysiąc synów i córek chłopskich uczy się zawodu i pracuje w samym tylko kombinacie piotrkowskim. Przed wojną tylko 6 wsi było zelektryfikowanych — wszystkiego kilkudziesięciu chłopów korzystało ze światła elektycznego. Dziś mamy już w powiecie 45 zelektryfikowanych gromad. Przecież to chłopi widzą. Zresztą — jesteście w gromadzie — porozmawiajcie sami.

Rozmawiałem. O chłopach z Żywocina można powiedzieć krótko: mocno tkwią we Froncie Narodowym. A Węzer — zdawało mi się — jakby urósł przez Cztery dni.

*

GAŁKÓWEK, powiat Brzeziny, 24 października

ALFONS Sokołowski, przewodniczący Zrzeszenia Uprawy Ziemi przebiera z żoną ziemniaki w stodole. Zbierane w czasie deszczu za kopaczką przeschły w stodole na klepisku... Nie mogą tu jednak leżeć tygodniami. Trzeba je przebrać i zakopcować.

— Deszcze i deszcze — powiada — z pola zebrać trudno. Z pola człowiek wraca uszargany jak nieboskie stworzenie.

— Pytacie o wybory? My do wyborów idziemy z dorobkiem... W r. 1949, gdy zakładaliśmy spółdzielnię, było nas 9-ciu. Garstka. Dziś jest nas prawie pięć razy więcej, bo czterdziestu dwóch. Ot, wczoraj przyjęliśmy trzech nowych: Brota, Pawlaka i Tadeusza Sokołowskiego. Złożyli podanie. Chcemy — mówili — głosować już jako spółdzielcy.

LIPCE REYMONTOWSKIE pow. Skierniewice 25 października

JUTRO wybory.

Sala szkolna, w której mieści się lokal wyborczy — gotowa. Urna, zasłony, lampy...

Wyglądam przez okno. Stoi pomnik Kościuszki z grubych nieciosanych głazów, z piastowskim orłem na szczycie. Na wmurowanej tablicy napis:

Tadeuszowi Kościuszce
Naczelnikowi
Narodu Polskiego
Włościanie wsi Lipce
D. 15 października
1917 roku.

A więc równo 35 lat temu chłopi Reymontowskich Lipiec uczcili pamięć człowieka, który uwolnienie chłopa z pańszczyźnianego ucisku uznał za niezbędny element walki o wyzwolenie narodowe.

Zgoła inny pomnik, wystawiony Lipcom znalazłem w I serii „Pamiętników chłopów". Autorem pamiętnika nr. 6 jest Stanisław Jankiewicz. W 1933 roku tylko ciekawość tego, co będzie jutro, powstrzymała go od samobójstwa z nędzy i braku jakichkolwiek nadziei na przyszłość. Jankiewicz żyje nadal w Lipcach. Pracuje w GS-sie, ma kawałek gruntu... jest **obywatelem, jest współgospodarzem kraju.**

— Ludzie zrozumieją, że nie sztuka wrzucić kartkę wyborczą do urny. Dlatego, gdy mówię o głosowaniu — mówię jednocześnie o obowiązkach. Dużo łatwiej by tu poszło, gdyby nie było biurokratów. A są. W Gminnej Radzie Narodowej nie zawsze odpowiadają na podania, na zażalenia. Wykryliśmy i załatwili kilkanaście takich spraw.

Pomnik Kościuszki, pamiętnik Jankiewicza, praca ekipy robotniczej, realizacja obowiązkowych dostaw i jutrzejsze wybory — to wszystko jedna sprawa...

*

28 października... Warszawa

Włączyłem wieczorem radio.

...okręg Łódź miasto: frekwencja 97,1 proc., na kandydatów Frontu Narodowego — 99,6 proc. — okręg Pabianice: 95,6 proc. i 99,8 proc.; okręg Zgierz — 96,9 proc. i 99,9 proc.; okręg Piotrków: 94,2 i 99 proc.; okręg Skierniewice: 92,7 proc. i 99,8 procent.

Adam Sar

Front Narodowy trwa

SPEŁNIŁEM wczoraj przy urnie swój obowiązek obywatelski, ale, aby mój głos miał pełną wartość, muszę go poprzeć lepszą pracą, trzeba dziś wyciągnąć co najmniej 130 proc. planu dziennego — myślała idąc do pracy ZPB im. Stalina w Łodzi Krystyna Świderska w mglisty, jesienny ranek, 27 października 1952 roku.

Przypomniał sobie tego dnia o bezużytecznie leżących w Gierałtowicach 2-ch tonach cementu, o który od pół roku dopominają się okoliczni chłopi, o niezabezpieczonych ziemniakach konsumpcyjnych w Andrychowie — przewodniczący PRN w Wadowicach i dlatego wcześniej niż zwykle przybył do biura...

Zawstydził się tego ranka i Leśniak Stanisław, gospodarujący na 4 ha w gminie Wieprz, że robotnicy w miastach wciąż jeszcze czekają na te 60 kg pszenicy, które mu jeszcze pozostały do odstawienia...

A inż. Smok, główny mechanik Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Ostrowie Wielkopolskim już od rana zwołał naradę w sprawie małej mechanizacji zakładów, aby jak najszybciej usuwać materiał rozbiórkowy i złom ze stanowisk roboczych w halach montażowo-naprawczych i w ten sposób rozszerzyć „wąskie gardło" opóźniające wykonanie planu.

— Trzeba zajrzeć do spółdzielni produkcyjnej Grudnej Kępskiej w Rzeszowskiem i pogadać z tow. tow. Leśniakiem i Furmankiem, na temat ich stosunku do pracy zespołowej i własności spółdzielczej, przecież ta sprawa ciągnie się już od maja i dotychczas nie jest wyjaśniona, co demobilizuje resztę zespołu, no i opóźnia siewy — przyrzekał sobie solennie sekretarz Komitetu Powiatowego.

*

Czyż takie i podobne myśli, i postanowienia nie snuły się po głowach każdego z nas, czyż nie zobaczyliśmy nagle, ile pilnej pracy czeka na nas, gdyśmy po wielkim zwycięstwie wywalczonym w dniu wyborów do Sejmu zabierali się do naszej codziennej pracy następnego ranka?

Nigdy jeszcze bowiem nasz naród nie czuł się tak zjednoczony i tak świadomy swej ogromnej siły, jaką mu daje JEDNOŚĆ. Nigdy jeszcze blisko 16 milionów ludzi pracy w miastach i na wsi polskiej nie zrozumiało tak dogłębnie jak teraz — o co toczy się walka. Nigdy jeszcze nie widziały tak jasno swoich zadań i swego posterunku w tej walce o lepszą radosną przyszłość, jaką pod kierunkiem bohaterskiej klasy robotniczej i jej partii oraz ukochanego Przywódcy Narodu toczy nasz naród w okresie Planu 6-letniego.

I nie zasłużonego odpoczynku po okresie wyborczym, okresie wytężonej pracy produkcyjnej i polityczno-wychowawczej pragną dziś setki tysięcy członków Komitetów Frontu Narodowego, miliony partyjnych i bezpartyjnych agitatorów, dziesiątki miliony świadomych bohaterów. Pragną nowych bitew o przyspieszenie realizacji naszych planów gospodarczych, o umocnienie siły i obronności naszego państwa, o wszechstronny rozwój kultury narodowej, o umocnienie więzów przyjaźni, jakie nas łączą w walce o pokój z narodami Związku Radzieckiego, krajów demokracji ludowej, z milionami ludzi pracy w krajach kapitalistycznych — o rychłe wykonanie każdego punktu programu wyborczego Frontu Narodowego. I nie tylko pragną tych nowych bitew, ale już je rozpoczęli.

Trwają już bowiem w całym kraju przygotowania do miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej, który w roku obecnym, roku XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, otwierającym nowe perspektywy rozwoju dla całej ludzkości nie tylko dla narodów radzieckich — przyczyni się do dalszego pogłębienia przyjaźni między obu narodami, udostępni jeszcze szerzej osiągnięcia i cenne doświadczenia Kraju Zwycięskiego Socjalizmu naszemu narodowi budującemu socjalizm.

Rozszerza się i pogłębia w całym kraju wytężona walka o utrzymanie przyspieszonego rozwoju przemysłu, głównej dźwigni rozwoju gospodarstwa narodowego, tak, aby stworzyć mocną podstawę dla przedterminowego wykonania wielkiego Planu 6 letniego, i wcześniej niż w roku 1955 rozpocząć realizację pierwszej naszej 5-latki.

Toczy się w całym kraju z rosnącym nasileniem walka o przyspieszenie rozwoju rolnictwa o jego przebudowę, w celu utrzymania właściwych proporcji w rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarstwa narodowego o wykonanie przez wszystkie powiaty, wszystkie gminy i wszystkie gromady tych zadań, jakie nałożył na rolnictwo polskie trudny i napięty plan gospodarczy roku 1952.

Zbliża się ważny w życiu wsi moment wyborów do gminnych rad kontroli i komitetów członkowskich przy gminnych spółdzielniach Samopomocy Chłopskiej — a więc batalia o dalsze umocnienie i rozwinięcie handlu ze wsią, jako jednej z głównych dźwigni umocnienia spójni między miastem a wsią.

Rozpoczęły się w całym kraju prace mające na celu ulepszenie i dostosowanie do nowych zadań podziału administracyjnego naszego kraju, stanęła bowiem przed nami sprawa podwojenia niemal ilości gmin wiejskich i powiatów, dla umocnienia i rozszerzenia więzi między władzą ludową a masami pracującymi, dla dalszego umocnienia ludowładztwa w Polsce.

Nie zastają nas te sprawy, które przynosi końcowy etap realizacji planu na rok 1952, nie przygotowanymi. Wyszliśmy bowiem z wielkiej kampanii wyborczej nie tylko zwycięsko ale i lepiej uzbrojeni niż kiedykolwiek do przełamywania trudności, z jakimi borykamy się w codziennym życiu, z jakimi walczyć musimy na drodze do socjalizmu. Wyrosły w tej walce nowe kadry, zacieśniła się więź między przodującą klasą robotniczą a masami ludowymi, wzrósł autorytet Partii. Powstała w postaci Frontu Narodowego wielka organizacja wszystkich uczciwych i patriotycznych sił w narodzie. I w tej organizacji, w szeregach Frontu Narodowego pójdziemy do nowych zwycięstw.

Stanisław Cieślak

GEORGE BIDWELL

Afryka Południowa w walce z Herrenvolkiem

Zgromadzenie Ogólne ONZ ma rozpatrzeć sprawę prześladowań rasowych w Unii Południowo - Afrykańskiej.

NA pokładzie transportowca wojskowego wpłynąłem latem 1942 do przystani w Cape Town. Wielki kompleks budynków, w tej liczbie gmach parlamentu Unii Południowo - Afrykańskiej, wyglądał z daleka jak zabawki dziecięce rozsypane u stóp Góry Stołowej, najwyższego szczytu w łańcuchu stromych wzgórz ciągnących się wąskim pasem wzdłuż całego wybrzeża kraju. Poza tym pasem wznosi się rozległy płaskowyż, sięgający na znacznej przestrzeni 1.300 metrów npm. Wystrzela zeń szereg szczytów wysokich na z górą 3.000 m. Tylko na północo - wschodzie nad rzeką Limpopo płaskowyż przechodzi w nizinę. Płaskowyż porastają głównie trawy, i krzaczaste zarośla. Mała ilość opadów nie sprzyja powstawaniu lasów. Ale wyniosłe góry i malownicze doliny w połączeniu z mocnym, podzwrotnikowym kolorytem zieleni mają w sobie surowy nieco majestat i piękno.

Nasze przybycie do Unii zbiegło się niemal z zajęciem przez hitlerowski Afrika - Korps Tobruku — na drugim krańcu kontynentu, o 8.000 km. stąd. Dowódcą Tobruku był południowo - afrykański generał — Klopper — i obywatele Unii rumienili się na wiadomość, że tylko południowo afrykańskim jednostkom kazano złożyć broń, podczas gdy oddziały polskie i australijskie przebiły się w walce przez pierścień wroga. Rumienili się również na wiadomość, że dowódca północno-afrykański, którego obowiązkiem było nakazać zniszczenie składów broni i amunicji w Tobruku rozkazu takiego nie wydał. Zadawano sobie pytanie dlaczego — lecz nie doszukiwano się jakichś głębszych, a złowrogich racji. Dziś, gdy biali władcy Unii pogrążyli kraj w przepaść zupełnego faszyzmu, tamta operacja ukazuje się w nowym a posępnym świetle.

Rektor uniwersytetu w Witwatersrand, mówiąc w kwietniu 1946 o panującej w Unii kaście białych, wyraził się: „Mówiąc bez osłonek — jest to mentalność Herrenvolku. Naszą postawę i nasze stosunki z Europejczykami i nie-Europejczykami opieramy na różnych założeniach etycznych. Cierpimy jako naród na chorobę, którą Plato nazwałby „kłamstwem duszy".

Owa mentalność Herrenvolku, owo kłamstwo duszy wkroczyło do Unii z zewnątrz wraz z osadnikami z nad Zuider Zee i z wysp brytyjskich.

„Kraj ten jest krajem białego człowieka" wykrzykuje 78-letni sfanatyzowany faszysta premier Daniel François Malan „i takim z naszej woli pozostanie". Co do tego ostatniego twierdzenia ma jednak odmienny pogląd właściwa ludność afrykańska. A teza pierwsza jest ignorowaniem rzeczywistości w kraju, zamieszkałym przez 8 milionów czarnych i brunatnych Afrykanów, 350 tysięcy Indian, 1 milion tubylców o domieszce krwi malajskiej i holenderskiej, i zaledwie 2 i pół miliona białych. Mimo okrzyków Malana Afryka Południowa jest krajem człowieka ciemnoskórego i jest on zdecydowany naocznie wykazać to imperialistycznym intruzom.

Ci ostatni nigdy nie użyczyli jednej myśli sprawom narodu afrykańskiego. Badacze i podróżnicy przybywali tu w poszukiwaniu przygód, rozgłosu i sławy; misjonarze — dla religijnych podbojów na rzecz swoich organizacji kościelnych; przedsiębiorcy i kupcy — w poszukiwaniu szybkich a dużych zysków. Osadnicy z Europy myśleli w kategoriach poprawy poziomu życia, ziemi do zajęcia i taniej robocizny. Przedstawiciele rządu rozpatrywali Afrykę Południową jako źródło surowców, terreny emigracyjne, bazy strategiczne, imperialny węzeł komunikacyjny i rezerwę mięsa armatniego. Lecz nikt nie widział tam narodu, co poza wszystkim było wielkim błędem, gdyż 8 milionów Afrykanów Unii to żywa cząstka 200 milionów rozsiadłych po całym kontynencie Afryki.

Gdy w roku 1870 odkryto w Kimberley i Johannesburgu największe w świecie złoża diamentów i złota, żadne dobro nie spłynęło stąd na lud afrykański. Zaciekły imperialista Cecil Rhodes, finansista angielski Barney Barnato i niemiecki Alfred Beit zmonopolizowali w swym ręku całą produkcję diamentów w Unii, a po paru latach i całą produkcję złota. W ciałach ustawodawczych i w administracji Transvaalu i Wolnego Państwa Oranje starli się z Burami, potomkami farmerów holenderskich, którzy zwalczając wtargnięcie konkurentów uderzali w nich wysokimi podatkami. W 1900 r. rzucono przeciw Burom wojska brytyjskie, które poniosły straszliwe klęski pod Ladysmith, Kimberley i Mafekingiem. Imperialiści mścili się niszcząc domy Burów i zapędzając ich kobiety i dzieci do pierwszych znanych w historii obozów koncentracyjnych, gdzie tysiące ich marły z chorób i wycieńczenia.

W 1902 r. imperialistyczni rywale doszli do porozumienia dla wspólnego wyzysku ciemnoskórej większości. Nie wytępili jej, jak to czyniono gdzieindziej, ale wyzuli ze wszystkiego. Imperialiści bursey potrzebowali niewolniczej siły roboczej na swych farmach, brytyjscy — w swych kopalniach. Tak Burowie weszli w zaczarowany krąg brytyjskiego imperium współdziałając w rasistowskim ucisku 4/5 mieszkańców Afryki Południowej w imię „zorganizowanej wolności".

Rządzący wszechwładnie imperialiści sprowadzali odtąd z W. Brytanii emigrantów głównie do funkcji administracyjnych i fachowych w kopalniach, przemyśle oraz zarządzie kraju. Prace ciężkie pozostawiano ludności miejscowej. Dla zachęcenia przybyszów musiano im zapewnić warunki życia dogodniejsze niż w Anglii.

Koszty tego wyższego poziomu życia ponoszą Afrykanie. Każda rodzina imigrantów angielskich zatrudnia afrykańską służbę domową, przy czym nędzna bardzo płaca wynosi 10 szylingów tygodniowo. Do obowiązków służby należy gotowanie, sprzątanie, opieka nad dziećmi — ale nie wolno im wsiąść razem z dziećmi do tego samego przedziału w pociągu, czy autobusie. Wielu robotników przybyłych tu z Anglii powraca po kilku miesiącach, gdyż nie mogą pogodzić się z tą metodą traktowania Afrykanów przez białych chlebodawców.

W Johannesburgu obowiązuje godzina policyjna: po 9 wieczór żaden Afrykanin bez specjalnej przepustki nie może wychodzić z domu. Afrykańscy studenci medycyny muszą podpisywać uroczyste zobowiązania, że nie będą leczyć Europejczyków. 90 lat temu Kolonia Przylądkowa przyznała ludności miejscowej te same prawa wyborcze, jakie mieli Europejczycy. Rząd Malana prawa te uchylił wprowadzając kurię tubylczą, która jednak wybierać może tylko białych. Celem tego było utrwalenie faszystowskiej większości w rządzie Unii. Nic dziwnego, że pewien reemigrant brytyjski podsumował to niedawno w ten sposób: „W Afryce Południowej można wytrzymać, tylko, jeśli się nigdy nie spojrzy na życie oczyma czarnego człowieka i nigdy nie zatroszczy się zbytnio o poczucie godności ludzkiej".

Godność ludzka! Trudno znaleźć dla niej miejsce w warunkach życia ludności wiejskiej w rezerwatach tubylczych Wolnego Państwa Oranje. Długie łany dobrej uprawnej ziemi przecinają strumienie, otaczają lasy. Ale chatki Afrykanów stłoczono tu tysiącami, tak że kraj zatraca nawet swój wiejski charakter. Najszczęśliwsi mają po 2 ha na rodzinę, bardzo wielu nie ma wcale ziemi. Rezerwaty zajmują tylko 13 proc. terenów uprawnych Afryki Południowej, ale mieszka w nich połowa ludności wiejskiej — 3 miliony Afrykanów. Toteż zaledwie połowa dzieci afrykańskich dożywa wieku późniejszego niż lat 16. W roku 1946 Rada Planowania Socjalnego i Gospodarczego stwierdziła, że „rezerwaty tubylcze w obecnych warunkach nie są zdolne zapewnić nawet minimum egzystencji".

Nic jednak nie uczyniono w kierunku poprawy i zupełnie świadomie. Rezerwaty zawsze służyły za źródło taniej robocizny dla kopalń. Afrykanów obłożono pogłównym i szeregiem innych podatków, aby zmusić ich do pracy w kopalniach dla zdobycia niezbędnych kwot.

Natomiast majątki Europejczyków zajmują po kilka tysięcy ha, dwory otoczone gajami cyprysów i eukaliptusów leżą w znacznej odległości od siebie. Ale ich właściciele w pogoni za zyskiem starają się wycisnąć wszystko z ziemi i taniej robocizny, nie robią nakładów i wyczerpują glebę. Inspektor rządowy, dr. Rijno Smit pisał w 1943 r.: „Oparte na robociźnie gospodarstwa rolne są typowym przykładem świadomego niszczenia bogactwa kraju. Na wielkich obszarach nic już nie pozostało z tego, co niegdyś zadziwiało żyznością".

✣

W zagłębiu kopalnianym Randu (Witwatersrand pod Johannesburgiem) przebywa stale 300 do 350 tysięcy robotników afrykańskich. Otrzymują przeciętnie nieco ponad 2 szylingi dziennie i zarabiają po 50 milionów funtów szterlingów rocznie dla akcjonariuszy kopalń złota. Gdy w 1946 r. zastrajkowali żądając lepszych płac i warunków pracy, zapędzono ich do kopalń przy pomocy pałek policyjnych — było wielu zabitych i setki aresztowanych.

Afryka Południowa ma pomyślne warunki dla szybkiego rozwoju przemysłu: łatwo dostępne i znaczne zasoby dobrego węgla, rudy żelaznej i innych kopalin. Ale w 1948 r. przemysł dostarczał zaledwie ponad 2 proc. dochodu narodowego zatrudniając 559.000 Afrykanów i około 200.000 białych. Zarobki czarnego robotnika wynoszą czwartą część płacy Europejczyka. „Przodująca cywilizacja" Malana nie chce zrozumieć nawet tego, że uprzemysłowienie wymaga traktowania robotnika jako istoty o jakichś ludzkich potrzebach.

W dzielnicy Moroka na przedmieściu Johannesburga mieszka 40.000 robotników. Wygląd Moroka ściśle odpowiada kolonii nędzarzy w Rosji carskiej tak przejmująco opisanej przez Gorkiego: stos skrzyń, blaszanek, wszelakich odpadków i połamanych desek, zwalony na kupę u stóp wzgórza. A tak samo wygląda każda dzielnica robotnicza na skraju większych miast Unii. Widziałem pod Cape Town takie właśnie osiedle Afrykanów i osiedle Hindusów pod Durbanem.

Rodzina ma wydzieloną sobie przestrzeń 6 m. kw., za co płaci 10 szylingów miesięcznie i gdzie musi zbudować swe domostwo — szałas, lepiankę, czy wprost rodzaj budy. Jeden ustęp przypada na 200—300 osób, jeden kran z wodą na 500. Brak jest wszelkiego oświetlenia, ale całą dzielnicę otacza drut kolczasty tworząc z niej rodzaj obozu koncentracyjnego.

W Moroka 18.000 dzieci nie ma możności chodzenia do szkoły. Roczna śmiertelność gruźlicy u „krajowców miejskich" wynosi 8 na tysiąc. Basil Davidson, publicysta angielski, który niedawno zwiedzał Afrykę Południową, pisze: „Mówiąc otwarcie dzielnice krajowców są siedliskiem chorób i rozpaczy, jakich nie ma bodaj nigdzie na świecie".

Davidson nie miał racji pisząc o „rozpaczy". Świadczy o tym Kampania Sprzeciwu, jaką podjął naród afrykański 26 lipca br., po raz pierwszy w historii współdziałając ściśle z innymi społecznościami nieeuropejskimi. Lud afrykański głodzony, ciemiężony i wyzyskiwany ponad wszelką miarę wyczerpał swą cierpliwość.

Malan, którego rząd doszedł do władzy w 1948 r., zawiesił czasopismo afrykańskie „The Guardian", odebrał prawa wyborcze, wprowadził ustawę „o ściganiu komunizmu" używaną przeciw wszystkim postępowcom i przywódcom robotniczym, ignoruje orzeczenie sądu uznające niekonstytucyjność tej ustawy i ogłosił komitet partyjny swego stronnictwa za najwyższą instancję sądową kraju. W poczynaniach rasistowskich popiera go biała opozycja chcąc uniknąć nawet pozoru sympatii dla Afrykanów. Popiera go również Wall Street, odkąd koncern inwestycyjny American - Transvaal nabył poważne udziały w ponad stu przedsiębiorstwach Unii. Malan nastawia się na Waszyngton, który bardziej sprzyja jego faszystowskiej polityce niż Londyn. Jest to jeszcze jeden przykład sprzeczności między imperializmami. W Brytanii ma szereg kolonii w Afryce i nawet rząd Churchilla musi o tym pamiętać.

Wzywając wszystkich nie-Europejczyków do udziału w Kampanii Sprzeciwu Moses Kotane, jeden z przywódców Narodowego Kongresu Afrykańskiego pisał 19. VI. 1952 r.: „Walka ta nie jest tylko sporem partyjnym, czy drobną polityczną sprzeczką. Chodzi o podstawowe zagadnienie przyszłości naszego kraju, o to, czy mamy żyć w wolności czy w niewoli. Nikt nie może pozostać na uboczu".

Uczestnicy Kampanii nie stawiają sobie jakichś ograniczonych celów. Dążą do zdobycia pełnej równości praw. Afrykanie zaś całego kontynentu — w liczbie 200 milionów — uważają Kampanię za czołówkę ataku na zasadę wyższości białych. Kampania objęła dotychczas przepisy dotyczące godziny policyjnej, przepustek wszelkiego rodzaju oraz segregacji w pociągach, autobusach i na poczcie.

Założeniem Kampanii jest nieuciekanie się do gwałtów. Uczestnicy nie opierają się aresztowaniu. We wszystkich miastach Unii biorą ochotniczo udział w akcji tysiące ludzi: robotnicy i robotnice, prawnicy, lekarze, nauczyciele, duchowni, handlowcy, studenci, członkowie organizacji młodzieżowych, kulturalnych i innych. Wszyscy odmawiają płacenia grzywien, gdyż byłoby to równoznaczne z uznaniem swej winy, i skazywani są na areszt od 2 do 6 tygodni. Choć w większości wypadków oznacza to dla rodzin utratę mieszkania, w ciągu 3 miesięcy, do końca września br., 5.000 osób świadomie naraziło się na więzienie.

Policja, operując zarzutem zdrady, przemocy i komunizmu, dokonała niedawno najścia na biura i mieszkania przywódców Kampanii. 20 z nich aresztowano, w tej liczbie prezesa Narodowego Kongresu Afrykańskiego, dr. J. S. Moroka i prezesa Kongresu Hinduskiego Afryki Południowej, dr. Y. M. Dadoo, i pociągnięto do odpowiedzialności na mocy ustawy „o ściganiu komunizmu". Ostatnio policja napadła na grupę 300 osób czekających spokojnie na wyprowadzenie z sądu uwięzionych towarzyszy. Poszły w ruch pałki gumowe i kastety, bito i kopano leżących na ziemi. Ale ruch oporu tylko się wzmaga na skutek takich napadów.

Walka ma wyraźnie antyfaszystowski charakter. Jest to walka z rasizmem, walka z systemem kolonialnym białego człowieka. Na ścianach domów, na murach, na piasku i mule widnieją wszędzie napisy: Afryka dla Afrykanów! Obcy, wracajcie do siebie! A ogień ten, który żarzy się już tak mocno w Afryce Południowej, tli się na całym kontynencie — w Sudanie, w Egipcie, w Tunisie, Algerze, Marokko. Tli się tam wszędzie, gdzie biały imperialista usiłuje zdławić słuszne i niezwalczone wołanie narodów o niepodległość, postęp i pokój. I każdej chwili w każdym z tych krajów lub we wszystkich naraz wybuchnąć może wielkim, nieugaszonym płomieniem.

George Bidwell

Foto: J. K. Maciejewski

Foto — CAF

WOJCIECH ŚCIBOR

NASZA DUMA

MAMY obecnie w kraju już blisko 4500 spółdzielni produkcyjnych, znaczna bowiem liczba spółdzielni powstała na tej ogromnej fali ożywienia politycznego i gospodarczego życia kraju, jaką był okres wyborów do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Radosny to fakt, że już przeciętnie w co **dziewiątej** wsi w Polsce płoną ogniska nowego, lepszego życia, tym radośniejszy, że uczciwie i ciężko zapracowany.

Spółdzielnie produkcyjne nie rodzą się bowiem jak grzyby po deszczu. O założenie każdej z nich toczy się ciężka i trudna walka z wrogiem klasowym. Przy założeniu każdej z nich trzeba się wiele napracować, aby rozbić tę zastarzałą skorupę kapitalistycznego sposobu myślenia i gospodarowania, która tak ciąży jeszcze na całym naszym pokoleniu, urodzonym przecież i wychowywanym w ustroju kapitalistycznym.

Mimo że w ciągu ostatnich czterech miesięcy powstało ponad 1100 spółdzielni, jest ich na nasze potrzeby i na nasze możliwości wciąż jeszcze za mało.

Dlaczego za mało?

Ogromne rozdrobnienie naszego rolnictwa jest bowiem kłodą u nogi szybko rozwijającego się naszego gospodarstwa narodowego, hamuje jego postęp, utrudnia zaspokojenie w całej pełni tych słusznych potrzeb społecznych, które tak szybko rosną w warunkach swobodnego życia narodu, uwolnionego z podwójnej niewoli zagranicznego i krajowego kapitału.

Na obecnym obszarze naszego państwa było przed wojną 2.200 tysięcy gospodarstw rolnych. Reforma rolna i osadnictwo na Zachodzie podniosło tę liczbę do 3.200 tysięcy gospodarstw. Gospodarka drobnotowarowa, która zwyciężyła w rolnictwie z chwilą zdobycia władzy przez masy ludowe przy wszystkich swoich ogromnych walorach ma dwie zasadnicze wady: niezdolność do rozszerzonej produkcji i niską towarowość. Obie można w warunkach władzy ludowej nieco złagodzić, ale bez gruntownej przebudowy rolnictwa i wprowadzenia gospodarstw wielkich (a więc wysokotowarowych) i socjalistycznych (a więc zdolnych do reprodukcji rozszerzonej), nie można tych wad usunąć.

Państwo Ludowe przekazało w latach 1946 — 1950 ze środków ogólnopaństwowych na wsparcie naszego rolnictwa ogromną sumę ponad 1423 milionów złotych dzisiejszych i przy rosnącej aktywności mas pracującego chłopstwa mimo zniszczeń wojennych, mimo zmniejszenia ludności rolniczej o 46 proc., doprowadziło do tego, że rolnictwo nasze daje dziś z mniejszego niż przed wojną obszaru uprawy produkcję globalną równą przedwojennej.

Ale taka produkcja jest już na nasze obecne potrzeby zupełnie niezadawalająca. Tym bardziej, że w parze ze wzrostem produkcji rolnej w latach 1946 — 1952 nie idzie wzrost towarowości rolnictwa. Ogromnie bowiem co najmniej dwukrotnie wzrosło spożycie własne wsi, zwłaszcza w grupie artykułów najbardziej wartościowych: mięsa, mleka, jaj, tłuszczu, owoców, tak, że obecna przeciętna towarowość gospodarstw chłopskich w Polsce wynosi przeciętnie 26 — 28 proc. ich globalnej produkcji. Byłoby jednak błędem uważać, że już wszystkie rezerwy towarowości gospodarstw chłopskich w naszym kraju zostały wyczerpane, ale przecież nam w najbliższym dziesięcioleciu potrzebny jest conajmniej dwukrotny wzrost towarowości naszego rolnictwa, a tego bez jego przebudowy osiągnąć się nie da.

Towarowość bowiem w granicach 40 — 50 proc. globalnej produkcji jest do osiągnięcia dopiero w wielkich gospodarstwach rolnych.

Nie stać nas dłużej w naszych warunkach na takie marnotrawstwo sił i pracy ludzkiej, z jakim mamy do czynienia w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich. Przecież chłopi nie pracują nieraz mniej od robotników przemysłowych czy rolnych, a jakież są efekty ich pracy? Weźmy np. rok 1950. Praca jednego robotnika przemysłowego dała w tym roku krajowi produkcję wartości przeszło 11 tysięcy złotych (w cenach niezmiennych), praca zaś w ciągu roku jednego robotnika PGR — produkcję wartości ok. 2700 zł., podczas gdy praca drobnego lub średniego rolnika dała krajowi produkcję wartości tylko ok. 1800 zł. Wyniki więc produkcyjne drobnego i średniego rolnika były blisko sześciokrotnie niższe od wyników pracy robotnika przemysłowego, a półtora razy niższe od wyników pracy robotnika w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Ta różnica ulega dalszemu pogłębieniu. Weźmy rok obecny, 1952. Odpłynęło z rolnictwa w ciągu ostatnich dwuch lat sporo ludzi do pracy w zawodach pozarolniczych, pozostała zaś ludność rolnicza dała produkcję znacznie większą od produkcji rolnej 1950 roku. Tak, że na jednego pracującego w rolnictwie indywidualnym wartość produkcji tegorocznej nie będzie niższa niż około 2300 zł. (w cenach niezmiennych). Ale spodziewamy się że nasze rolnictwo socjalistyczne (PGR i spółdzielnie produkcyjne) dadzą nam do końca roku produkcję co najmniej wartości ok. 4200 zł. na jednego pracownika, a przemysł produkcję blisko 15 tysięcy złotych na jednego pracownika w ciągu roku. Stosunek więc wartości pracy rolnika indywidualnego, robotnika PGR lub spółdzielcy, robotnika przemysłowego wygląda już dziś jak 1:2:8.

Nie stać nas również na dalsze marnotrawstwo w wykorzystaniu ziemi — głównego środka produkcji w rolnictwie. Bo miedze i szachownice pól, mały obszar poszczególnych upraw uniemożliwia przecież przeprowadzenie gruntownych melioracji i właściwego płodozmianu — tych podstawowych warunków kulturalnego i wysoko wydajnego gospodarstwa. W dodatku drobne gospodarstwo na skutek swojej nieracjonalnej organizacji pracy wytwórczej zatrzymuje nadmierną liczbę rąk roboczych na wsi, hamując przez to możliwości rozwoju przemysłu, głównej dźwigni naszego rozwoju. Przecież już dziś nie gdzie indziej, a w województwie krakowskim, gdzie siedzi jeszcze ponad 100 osób na 100 ha użytków rolnych, słyszy się narzekania na brak siły roboczej na wsi, obserwuje się ucieczkę od upraw pracochłonnych, a przecież blisko 2/3 liczby obecnie zatrudnionych w rolnictwie woj. krakowskiego rąk do pracy mogłoby bez przeszkody, bez żadnej obawy osłabienia produkcji rolnej, odpłynąć w warunkach zespołowej gospodarki do zajęć pozarolniczych.

Tak więc stare stosunki produkcji unieruchamiają nam olbrzymie, utajone siły wytwórcze, których wykorzystanie pozwoliłoby na usunięcie znacznej części odziedziczonego po kapitalistach zacofania naszego kraju, ale wykorzystanie ich możliwe jest jednak jedynie na bazie socjalistycznej przebudowy rolnictwa.

Jak pokazał przykład 1951 roku drobne gospodarstwa chłopskie nie mogą skutecznie walczyć z żywiołowymi siłami przyrody, zwłaszcza z często występującą posuchą jak również z niezbyt korzystnym rozkładem opadów atmosferycznych, tymi dotkliwymi wadami naszego klimatu.

Wróćmy wreszcie jeszcze raz do sprawy towarowości. Już w roku 1950 PGR i spółdzielnie produkcyjne zatrudniające zaledwie 4,5 proc. ogółu zatrudnionych w rolnictwie, dały 7,6 proc. towarowej produkcji rolnictwa, w tym 17 proc. żyta, 20 proc. pszenicy, 12 proc. mięsa, itp. W roku 1951 socjalistyczne gospodarstwa rolne zajmując około 12 proc. użytków rolnych w Polsce, dały ponad 1/4 całego towarowego zboża w Polsce. W tym roku spodziewamy się, że wartość towarowej produkcji PGR i spółdzielni produkcyjnych w przeliczeniu na jednego zatrudnionego wyniesie co najmniej 10 tys. złotych (licząc wg państwowych cen skupu), podczas gdy wartość produktów sprzedanych przez indywidualnego rolnika w ciągu całego roku nie wyniesie więcej niż około 3700 zł. (licząc według państwowych cen skupu).

Dostateczne zaopatrzenie naszego przemysłu w surowce pochodzenia rolniczego, obfitość żywności w miastach i na wsi zapewnić może w całej pełni dopiero zwycięstwo socjalistycznej gospodarki w rolnictwie. Dlatego walka o przyśpieszenie przebudowy naszego rolnictwa, przy zachowaniu rzecz jasna i ścisłym przestrzeganiu zasady dobrowolności, staje się jednym z najważniejszych obowiązków patriotycznych każdego świadomego obywatela naszego kraju.

Mamy już silny park maszynowy, coraz lepiej pracuje nasza państwowa służba agronomiczna, zrozumienie potrzeby i korzyści przebudowy rolnictwa przenika coraz szerzej jednak do podstawowych mas chłopskich. Istnieją więc wszystkie warunki niezbędne do tego, aby na koniec roku liczba spółdzielni produkcyjnych znacznie wzrosła. Ale pomiędzy możliwościami i rzeczywistością istnieje przepaść, którą wypełnić może tylko usilna, ofiarna praca całego aktywu terenowego, który powinien pamiętać, że w pracy na wsi z pośród wszystkich pilnych, ważnych i wielkich spraw, ta sprawa, sprawa przebudowy naszego rolnictwa, jest sprawą najpilniejszą, największą i najważniejszą.

Wojciech Ścibor

A. SKIBA

WYROK BEZ ODWOŁANIA

PAMIĘTAMY wszyscy wiosnę 1945. Czerwone sztandary na gruzach Kancelarii Rzeszy wieściły ludziom rozgromienie faszyzmu. Więźniowie wychodzili na słońce, rodziny wracały do domów, młoda zieleń barwą nadziei pokrywała dymiące jeszcze zgliszcza. W San Francisco zakładano fundament nowej organizacji trwałego pokoju. Z otuchą patrzyły w przyszłość narody świata — wszystkie bez wyjątku.

Minęło siedem lat. Znad pobojowisk Korei wznosi się czarna chmura. Upiór wojny obiega kulę ziemską. Grozi wtargnięciem do domu każdego człowieka, niesie zagładę narodom całego świata — wszystkim bez wyjątku.

Jedna klasa, nieliczna i spodlała, a w jednym tylko narodzie — do czasu — wszechwładna, przywołuje krwawego upiora, chcąc przy jego pomocy podbić i ujarzmić narody całego świata — wszystkie bez wyjątku.

Minęły jednak czasy bierności. Przeciw mocom wojny, przeciw potędze zniszczenia i śmierci powstaje siła jeszcze potężniejsza: jednoczą się w walce o pokój narody całego świata — wszystkie bez wyjątku.

Wyrazem, narzędziem, wcieleniem tej walki są Kongresy Pokoju, plebiscyty, apele noszące podpisy setek milionów. Wyrazem, wcieleniem, narzędziem tej walki nie jest — wbrew swemu przeznaczeniu — oficjalna instytucja międzynarodowa: Organizacja Narodów Zjednoczonych. Bo choć do życia powołała ją powszechna wola pokoju — imperializm, zrodzony pod znakiem wojny, zagarnął ONZ w pacht monopoli. Krótkie, a pełne wstydu były dotychczasowe jej dzieje. Fałdami błękitnej chorągwi owinięto narzędzia ludobójstwa; smutny Falstaff, sekretarz generalny, stempluje pięknym godłem rozkazy agresorów, zatwierdza je maszyna, w jaką przerobiono „parlament świata".

W New Jorku po raz siódmy obraduje Ogólne Zgromadzenie ONZ. Wniosek polski postawił sprawę wojny i pokoju w centrum debat. Zaciął się amerykański automat, Departament Stanu nie może skłonić żadnego ze swych satelitów do zabrania głosu w obronie agresji. Słowo POKÓJ rozbrzmiewa na całą Amerykę w chwili, gdy zapada decyzja, kto w ciągu najbliższych lat czterech stać będzie na czele dyktatury burżuazyjnej, rządzącej w USA.

Imperializm rządzi Ameryką — imperializm nie jest wolą Ameryki. Monopole zdławiły ją, ale nie złamały. I choć wybory prezydenckie są wyborów parodią, choć obywatelowi Stanów pozostały już tylko szczątki praw obywatelskich, może on każdej chwili upomnieć się o całość. A wołanie o pokój jak serce wielkiego dzwonu uderza w najmocniejsze z jego uczuć, budzi najżywsze w nich echa.

Machinom wyborczym obu reakcyjnych partii zaczęło braknąć tchu, ster kampanii wymykał się im z rąk. Zamurowano więc trybunę ONZ, terrorem zmuszono satelitów do posłuchu, odsunięto debatę ogólną, odrutowano ją zmową milczenia, aby dzwon pokoju nie budził świadomości ogólnoludzkiej w dziedzicach Karty Praw.

Pod znakiem wojny rodził się imperializm i nie było wówczas nikogo, kto wzniósłby karzący miecz. Dziś burzyciele świata stoją coraz bardziej samotni przed sądem opinii. Od jej wyroków nie ma odwołania. I bez odwołania wyda na siebie wyrok ONZ, jeśli wbrew woli narodów nadal będzie ciągnąć tragiczny wóz wojny.

A. Skiba

26 października 1952 roku

WŁADYSŁAW JANICZEK

W GMINIE GROMNIK

CHCĘ Wam opisać jak się odbyły wybory w naszej gminie Gromnik (pow. Tarnów). W tarnowskim powiecie działali od 80 lat ub. wieku poczynając najpierw ksiądz Stojałowski, potem Stapiński, Witos i Bojko. Te tradycje mocno zaciążyły w naszych stronach. Były to tradycje niby walki a ugody, niby wyzwolenia a w gruncie rzeczy awansu między „starszych braci", niby rewolucji a w rezultacie „nie czas jeszcze w Polsce na rewolucję". Przewlekano, jątrzono, moralizowano, chłop potęgą jest i basta, niech żyje stan włościański itd. itd. Kołowano

Foto — CAF

chłopa i zwodzono. Toteż wśród przyjaciół psy zająca zjadły. Jechał chłopina do Francji i za ocean, do Stanów Zjednoczonych, do Brazylii, usuwała mu się spod nóg morga za morgą, plótł kosze, robił szczotki i miotły, szedł na rynek Tarnowa i Krakowa, aby się sprzedać jak bydło robocze. Klął, płakał i znów się oglądał za kominem, z którego się kurzy, znów patrzył skąd wiatr wieje.

Nic też dziwnego, że obałamucenie, ten wiatr w głowie, niemało chłopów jeszcze po wojnie wpędziło u nas w szeregi PSL-u.

Ale nowa Polska przestała być ojczyzną labidzenia i niespełnianych obiecanek, zniszczyła dawną pożywkę dla wahań, niejasności i zacofania. Co tu dużo gadać. Chłop mało i średniorolny w naszej gminie stanął na nogi. Poczuł pod nimi twardy grunt. Przemądrzałe „ludowe" a puste gadanie zastąpił jasny i prosty rachunek: parcelacja, Ziemie Odzyskane, przemysł, szkoły i ziemia, która wreszcie spod nóg nie ucieka i z której plon i dochody rosną z roku na rok. Pisałem niedawno, jak to u nas w latach 1949 — 51 przeciętna zbóż podniosła się o 5 q. z hektara, obszar buraków cukrowych wzrósł trzykrotnie a wydajność o 150 q., bydła przybyło dwukrotnie.

Największa, najbardziej zdumiewająca zmiana wyraziła się w tym, że nasz chłop z „rozpolitykowanego", co próżne przelewał w puste, stał się chłopem zażarcie pracującym. Sam dla siebie jako najlepszą odpowiedź postawił — pracę i czyn.

Ostatnie lata w tarnowskim powiecie, to wielka zbiorowa, dziesiątków tysięcy chłopów odpowiedź dana dawnej, ludowej tradycji, tej prawicowej zachowawczej, bez wyjścia. Tarnowski chłop dorwał się wreszcie do czynu.

Toteż, kiedy we wrześniu zaczął się początek kampanii wyborczej u nas nie po gadaniu a po faktach można było ocenić atmosferę. 152 proc. planu skupu zboża (rocznego 79 proc.), żywca — 143 proc. (za wrzesień). Chłopi sami chodzili do GS-u pytać, ile już mają zapisane i na ile jeszcze zalegają. Nie zdarzył się ani jeden wypadek zastosowania środków nadzwyczajnych. Na początku października zdawało się, że kontraktacja trzody chlewnej nie zda egzaminu (90 proc. rocznego planu), bo chłopi na domowe potrzeby odliczyli sobie tuczniki ale nie, czyste sumienie, o tym u nas nie zapomniano. Pokazali chłopi, że dobrze mogą żyć i dać 56 tuczników ponad plan. Taka była agitacja nasza, od dołu idąca.

Muszę podkreślić siłę tego patriotycznego rozmachu. Nic jej nie potrafiło zahamować. A były przecież wypadki, że PRN w Tarnowie z dużym opóźnieniem rozpatrzyła prośby o obniżenie dostaw zboża. I taki np. Stefan Kros z Solanki, nie mogąc się doczekać odpowiedzi, kupił i oddał pełny plan zboża. Inni też postąpili, bo czyste sumienie to sprawa pierwsza. Niech się teraz wstydzi Rada Powiatowa. Ma nadwyżkę od tych, którym winna była przyjść na czas z obniżką. Były i inne pomyłki, jak np. uznanie w Gminnej Radzie Karola Kwieka w gromadzie Siemiechów za przodującego chłopa, kiedy najlepiej ze swych obowiązków wywiązał się Wojciech Janiczek. On, to, chłop 61-letni, zorganizował zbiorową odstawę zboża, pierwszą w gminie, cały podatek spłacił już w sierpniu, zamiast 117 kg zboża oddał 500, zamiast 500 kg ziemniaków — 600, mleko i żywiec ponad plan. W gromadzie Golanka chłopi sami uprawili hektar odłogu, posiali i zakontraktowali wykę. 300 kg. ziarna uzyskali, a GS — po dziś dzień nie odebrał jeszcze tej „ponad planowej" produkcji. Wszystkie takie i tym podobne wypadki nie osłabiły patriotycznego rozmachu chłopów naszej gminy. Przecież my rządzimy i za gospodarowanie w terenie odpowiadamy wspólnie.

Więc też wybory wyglądały tak.

Obwód nr. 79, Siedliska. Głosowały dwie gromady. Od samego rana tłumy ludzi. O godz. 10-ej oddało już swój głos 65 proc. wyborców. Gromada Chojnik przyjechała razem na 40 furmankach. Pierwszy oddał tego dnia głos Stefan Bień, małorolny. Tak to Tarnowskie odpowiedziało na dawną politykę kmieci — kułaków. Dom udekorowany, portrety Prezydenta Bieruta. Ludzie wystrojeni, uśmiechnięci. Członkowie ZSL-u w szeregach, prowadzi ich prezes Wilk.

Obwód nr. 80, Siemiechów. Tu najwcześniej, bo o 5 rano był już stary Kochan Jerzy i gromada dzieci. Punkt o 6 wobec zebranego tłumu stary Kochan pierwszy oddał kartę: **oddaję ją na szczęście i pomyślność Polski Ludowej!** Wiwaty, dzieci wręczają mu kwiaty. O godz. 9-ej oddaje manifestacyjnie swój głos ksiądz Julian Sidor. Radosny nastrój, o godzinie 12-tej 60 proc. głosów. W bufecie GS-u pełno ludzi. Trzech sklepowych nie może nadążyć. Święto to przecież dla chłopów. O godz. 16-ej przyjeżdża zespół artystyczny z MPGK z Tarnowa. Muzyka gra. Wszyscy idą w tany. Nadjeżdża 80-letnia Kwiekowa z Siemiechowa. Taniec przerwany, za to nie milkną oklaski. Prowadzą staruszkę do lokalu.

Obwód nr. 81, Brzozowa. O godz. 14-ej głosowało już ponad 80 proc. wyborców. 87-letni Idzi Studziński przyszedł na piechotę — 7 km. — **W takim dniu, jak nasze wybory, poszedłbym i dalej, bo głos mój dziś znaczy a przez 80 lat nic nie znaczył.** Obsypano go kwiatami. Tego dnia w obwodzie nr. 81 górowali starcy. Pierwszą bowiem, która o 6 złożyła swój głos, była Elżbieta Tutaj, 80-letnia chłopka z Wróblowic. Przybyła z wnuczętami — **na Polskę, na Matkę naszą, na jej dzieci, na moją spokojną starość!** O godz. 20-ej głosowało już 98 proc. wyborców. To był dzień w naszej gminie taki, co przejdzie do historii i legendy.

Władysław Janiczek

Foto — CAF

LUDWIK MAJ

W GMINIE BYSTRA

U NAS na Podhalu ludziska pamiętają niejedne wybory. Za Austrii — „obrońcy chłopscy" nieraz kandydowali i byli „wybrańcami" na posłów, ale ci „posłowie" znali wieś z opowiadania ekonomów i karbowych. Wprawdzie w okresie przedwyborczym taki „chłopski kandydat" jak hrabia Czesław Lasocki ze Spytkowic, właściciel dworów, otwierał stodoły i swoim naganiaczom karbowi przydzielali bezpłatnie zboże, ale po wyborach chłopi musieli odrobić „pański gest".

Za Polski międzywojennej wybory były ohydnym targowiskiem. Wzajemne obrzucanie się najgorszymi świństwami, najordynarniejsza rywalizacja, przekupstwo, błaznowanie, reklamowanie i podnoszenie do sztandaru cnoty najbardziej zdeprawowanych ludzi.

Chłopi bałamuceni przez rozmaite plebaństwo, endeckie stronnictwo, przez rozmaitego koloru „obrońców" chłopskich spod znaku stronnictw „ludowych" zaczęli pomału poznawać i rozeznawać interesy targowiczan, zaczęli tracić zaufanie do takich „obrońców" którzy idąc do rentownych posad poselskich szafowali obietnicami.

Przypominam sobie wybory 1930 roku, jak do naszej gromady przyjechał jakiś ksiądz Madej, którego wieś wtedy pierwszy i ostatni raz uwidziała. Mnie się najbardziej przypominają błyszczące pierścienie na palcach, kiedy przed szkołą, gdzie urządził wiec, wymachiwał rękami, grożąc piekłem tym, którzyby głosowali na 7-kę (Wyzwolenie) i przypominają mi się okrzyki naszych chłopów, którzy pytali się w jaki sposób dzielić zapałki na 6 części gdyż na 4 to za mało.

W 1935 roku do naszej wsi przyjechał poseł Fidelus z Zembrzyc, który z grupą kadzi - chłopów, kandydował do Sejmu, chłopi na jego przemówienie odpowiedzieli gradem kamieni, co zmusiło posła, komisarza i klikę do ucieczki. Prawda, za to „spotkanie" kandydata z chłopami zapłacili: niejednym wyrokiem sądowym. A Polska zapłaciła za tę „hałastrę" zdrajców wrześniem 1939

Wybory w 1947 roku odbywały się w ostrej walce z reakcją mikołajczykowską, w której to walce jeszcze część chłopów nie potrafiła w pełni rozeznać prawdziwego oblicza tego „opiekuna" chłopskiego, ale wybory zadały druzgocący cios reakcji.

Nadeszły nowe wybory.

Nasza gmina Bystra mimo, że w połowie września jeszcze były żniwa nieukończone (do końca września się wlokły), że pora deszczu, trwającego do dziś, wstrzymywała omłoty, przed wyborami w 90 proc. wykonała swój obowiązek. Te 90 proc. za trzy tygodnie, to olbrzymi wysiłek ze strony pracującego chłopstwa, ocenić go mogą ci, którzy znają trudności terenowe Bystrej.

Co poderwało pracujących chłopów do takiego wysiłku?

Wielka prawda Frontu Narodowego. Cel nowego życia w najbliższym 10-cioleciu.

Na odcinku gospodarczym w okresie przedwyborczym zadano poważny cios reakcji, która chciała wstrzymywać wieś od udziału w wykonywaniu obowiązków. Niejedna grupowa odstawa zboża i ziemniaków zadawała kłam oszczerczym plotkom, podrywała innych do współzawodnictwa. Na wiadomość, że poszczególne gromady wysunęły na kandydatów Frontu Narodowego takich chłopów z Podhala, jak Jakuba Chudobę z Szaflarów, Górkę Józefa z Łęk, Jana Wiktora ze Szczawnicy, tempo odstawy zboża podniosło się jeszcze bardziej.

A jakiż uroczysty, budujący, patriotyczny charakter miały spotkania chłopów z kandydatami na posłów.

Do naszej wioski przyjechał Józef Górka, prosty chłop, którego znano od dawna jako rzetelnego, ofiarnego obywatela, również przyjechał pisarz chłopski, Jan Wiktor, którego walka o godność chłopa i jego prawa do życia ludzkiego, znane są chłopom. Kiedy Wiktor odczytywał poszczególne fragmenty o życiu Polaków we Francji na obczyźnie, o ich piekle, niejedna łza potoczyła się po zoranym bruzdami policzku, niejedna pięść zacisnęła się. Boć to okruchy przeszłego życia, wydartego z żywego ciała chłopa, który takie życie przeszedł.

Dzień 26 października pozostanie długo w naszej pamięci. Data ta będzie probierzem czasu, bo w dniu tym Front Narodowy w naszej gminie odniósł decydujące zwycięstwo polityczne. Jak okres przedwyborczy był czasem zwycięstw gospodarczych to dzisiejszy dzień publicznie w całej swojej sile okazał słuszność naszej polityki.

Od godziny 6-ej rano na poszczególnych gromadach wędrowały grupowo, rodzinami, furmankami setki pracujących chłopów do lokali wyborczych. W takim Osielcu, rodzinnej wiosce Piotra Wyrobka, około 200 chłopów przymaszerowało do lokalu wyborczego z transparentami.

Z gromady Wieprzec zorganizowali chłopi barwny pochód do lokalu w Kojnówce. Starzy i młodzi, rumiane dziewczyny i śmigli górale z radością spełniali swój akt patriotyczny.

Do godziny 12-ej w Sidzinie, na której to gromadzie wróg skoncentrował wysiłek paraliżujący, około 70 proc. obywateli złożyło swoje

Foto — CAF

kartki na kandydatów Frontu Narodowego. W pierwszych godzinach popołudniowych reszta patriotów. Wzruszające momenty spotykało się w lokalach wyborczych, kiedy stary chłop, który niejedną gorzką i głodną wiosnę przeżył, który niejedno przekleństwo rzucił na wyzyskiwaczy — szedł z kartką wyborczą i z nabożeństwem ją kładąc do urny wyborczej, mówił głośno: głosuję, bo moim wnukom lepiej będzie, nie tak jak mnie w dzieciństwie.

W tym uroczystym dniu 98 proc. obywateli naszej gminy wyraziło w wyborach siłę Frontu Narodowego, siłę kierującą Polską do szybszego marszu, do socjalizmu.

Dwa brakujące procenty to ci chłopi, którzy głosowali w 1935 roku na sanację, gdy 98 proc. chłopów w tym czasie na wezwanie KPP wstrzymało się od głosowania. Dzisiaj na wezwanie Ojczyzny Ludowej 98 proc. obywateli gminy Bystra świadomie idzie do lepszego życia. 26 października, tę olbrzymie zwycięstwo pracujących chłopów, połączonych z klasą robotniczą we wspólnym Froncie Narodowym. Głosowaliśmy za nową wsią, opartą o nową strukturę gospodarczą, która w tym wielkim planie (jaki realizujemy i w nowym 5-letnim, jaki będziemy wytyczać) przebuduje naszą wieś, nasze Podhale na Podhale socjalizmu!

Ludwik Maj

ANNA JACHNINA

TOMASZE — NIEDOWIARKI

GROMADĘ Kipichy poznałam trzy lata temu. Pamiętam... jechaliśmy szosą z Rypina. Stary las sosnowy, częściowo mieszany, o gęstym poszyciu i mrocznym wnętrzu urwał się po dziesięciu kilometrach i wzrok nie zatrzymany żadną wyniosłością, pobiegł po równinie, po wielkiej misie, wkrąg zamkniętej lasem. W tej misie, jak trzy bliźniacze siostry, tuliły się do siebie trzy gromady. Wokół zabudowań zagony piaszczystej ziemi, gdzie darzą się tylko ziemniaki i żytko. A dalej — mokradła pokryte sitowiem, turzycą i trzęsawiska, nad którymi unosiły się stada wodnego ptactwa. Smutek wiał od mokradeł, smutek oplatał domostwa, kryjące niedostatek za pniami białych brzóz, za ukwieconymi koronami pokrzywionych wisienek.

Dla malarza byłby to „smętny, ale piękny krajobraz". Dla rolnika była to bielica poleśna — ostatni gatunek gleby. A te łąki? — Nieużytki.

Tak wyglądały Kipichy w roku 1950-tym.

W czasie okupacji było tu ciężko. Chłopów wysyłano na roboty, a cały ten teren chcieli Niemcy zalesić. Wielu gospodarzy zginęło na robotach i w obozach.

W roku 1951 do Mleczówki przyjechał meliorator. Zwołał zebranie i zaczął z chłopami gawędzić.

— Biedne są wasze gromady. Gleba słaba, łąka jeszcze lichsza, a przecież badania Wojewódzkiego Zarządu Wodno - Melioracyjnego wykazały, że można te łąki zmeliorować, można je uprawić, a tym samym radykalnie zmienić waszą gospodarkę. Państwo na ten cel przeznacza znaczne fundusze, daje fachowców, maszyny, nawozy i nasiona. A wy dacie swoją pomoc? To znaczy robociznę niefachową?

Patrzyły na niego niechętne, chmurne twarze.

Do Kipich, do Mleczówki i Okalewka dochodziły wieści o tym, że rosną fabryki, że z gruzów wstają miasta. Ale w tej niecce pustkowia, zagubionego wśród lasów, piasków i bagien myślał chłop bardziej ospale i nieufnie. U nich przecie, jak dawniej fruwały nad mokradłami czajki a krowa kaleczyła język badylem ostrej, kwaśnej trawy.

Nie udała się prelekcja. Chłopi powysuwali się z sali cichcem, jeden po drugim, ale się nie rozeszli. Przenieśli się do stodoły sąsiada. Tu zaczęto obrady „na rozum", na „pomyślunek".

— Jak to on powiedział?... Tam, gdzie mokradło, gdzie łysina — będzie łąka?

Meliorant znał już takie wsie za lasami, za bagnami. Znał psychologię chłopów z głuszy. Tę dziwną sprzeczność w myśleniu, które dopiero wówczas gotowe uwierzyć nowemu w kraju i dać się porwać w nurt ogólnych przemian, kiedy u siebie namacalnie zobaczy zmianę. A zmiana na miejscu wydaje mu się znowu niemożliwa. I tak w kółko gotowi byli chłopi labidzić, ale... meliorant wlazł do stodoły i powiada:

— Chcecie, uprawimy w tym roku 2 hektary łąki na próbę. A jeśli nie zależy wam na dobrym sianie — ja go będę od was dzierżawił.

Dwa hektary — nie dużo. Nie to ich jednak wzięło. Wzięło ich magiczne słowo „dzierżawa". Jak meliorant chce **dzierżawić**, to już musi być pewny interes. Pomalutku, aby się nie poznał, że ich rozgrzał do melioracji, zaofiarowali pomoc w uprawie, ale siano... będzie „nasze".

W ten sposób dali chłopi aprobatę na rozpoczęcie robót w Mleczówce. Na rezultat nie trzeba było długo czekać. Zazieleniła się młoda łąka, wybłysła spośród burych, wyleniałych pastwisk i stała się przysłowiowym kijem w mrowisku...

— Wiecie — opowiadał z humorem sołtys Filipski. — Nie chciałem wierzyć, że tutaj wyrośnie taka trawa. A kiedy wyrosła, myślę sobie, czy też naprawdę dobra — niech sama krowa odpowie. Narwałem naręcz i podaję krasuli. — Ludzie! Jak chwyciła, to razem z trawą przez płot mnie przeciągnęła.

W ślad za Mleczówką wystąpiły Kipichy z prośbą o zagospodarowanie łąk. Przyszedł traktor. Gospodarzy ogarnęła gorączka. Prędzej, prędzej, zaorać, zasiać... I tutaj, w Kipichach, tak jak w Mleczówce zorganizowano Zrzeszenie, łącząc wszystkie kawałki łąk w jeden wielki kompleks uprawowy.

Jeży się pole świeżo odwróconą skibą. A za traktorem, jak stado ptaków, ciągną mieszkańcy Kipich, pomagają maszynie, odwracają darń, przyklepują, wygładzają, byle prędzej, byle prędzej... Dzień i noc warczał traktor w Kipichach, kłując w ciemności światłem reflektoru. Patrzy na robotę przewodniczący Zrzeszenia i w oczach jego miga coś jakby zdumienie.

J. K. Maciejewski

Głęboko wciągnął w płuca ostre, wiosenne powietrze. Nowe płynie ku niemu z tej szerokiej, otwartej przestrzeni. Markowski jeszcze nie umie zdać sobie z tego sprawy, ale czuje podświadomie, że nad tą ziemią wyzwoloną od miedz i granic — niesie się jakiś swobodny, szeroki wiew.

Pojawia się Durszlewicz, podenerwowany opowiada, że traktor podobno pójdzie na 2 dni do Mleczówki. Za Durszlewiczem nadbiegło z pola jeszcze kilku gospodarzy. — Nie oddamy traktora! — wołają. — W Mleczówce już trawa rośnie, a u nas jeszcze czarno.

— Ja w stu procentach przekraczam plan kontraktacji. Staram się wywiązać ze wszystkich obowiązków wzorowo. I jakim wysiłkiem, niech sąsiedzi powiedzą — peroruje Markowski. — Po osiemnaście kilometrów woziłem w worku paszę dla krowy.

— Nie denerwujcie się! — uspakajam. — Zaraz wróci z pola inspektor i sprawa się wyjaśni.

Ale Markowski jest niepocieszony.

— Czekajcie tu chwilę, pokażę wam krowy naszej gromady. Zobaczycie bydlaki, to zrozumiecie, dlaczego nam tak śpieszno do nowej łąki.

— To są nasze krowy! — denerwuje się Markowski. — Zarzucisz taką na plecy jak cielaka. Żebra mało skory nie przebiją.

Taką to rewolucję wywołał w Kipichach szmaragdowy pasek łąki, wijący się jak wstążka przez pole sąsiadów. Okalewek też nie pozostał w tyle. — Kiedy przyjdzie traktor, kiedy zaczniecie robotę — pytano stamtąd niecierpliwie. — Chcemy na łąkach wspólnie gospodarzyć.

Kończy się wrzesień 1952 roku. Pięknie wyglądają łąki trzech bliźniaczych gromad. Zieleń soczystej trawy sprawiła, że cały krajobraz mimo jesieni i mimo deszczu nie przytłacza jak ongiś smutkiem i melancholią. Żyje on życiem bujnej roślinności. Nad równiną wznoszą się przysadziste kopy siana. Tu i ówdzie gospodarze zbierają jeszcze ostatni pokos.

— Jak idzie robota? — pytam Antoniego Filipskiego.

— Dobrze idzie, dobrze. Ta trawa postawiła nas na nogi. Latoś mieliśmy siana nie tylko dla siebie, ale mogliśmy je sprzedać.

— Wieczorem tego samego dnia u gospodarza Zalewskiego w Okalewku odbywa się zebranie. Nie jest to właściwie zebranie, a pogawędka. Przyjechał dyrektor Wojewódzkiego Zarządu Wodno-Melioracyjnego Kazimierz Chojnacki, przyjechał wojewódzki inspektor łąkarski — Romejko.

Po inspekcji chcieli spotkać się z tymi, dla których przeprowadzono melioracje, udzielić rad, wskazówek, usłyszeć, jak układa się robota w zrzeszeniu.

Migotliwe błyski lampy oświetlają twarze młode, czerstwe, ogorzałe i stare, na których wiek zapisał się gęstą siecią zmarszczek. Robi się coraz ciaśniej. Chłopi stoją w otwartych drzwiach, a nawet w sieni.

— Tegoroczna mokra jesień daje nam się we znaki — zaczął Zalewski. — Nie można dosuszyć siana z ostatniego pokosu.

— Jest na to sposób — odpowiada inspektor Romejko. — powinniście postarać się o żerdzie i dla całego zrzeszenia wybudować kozły, na których siano schnie szybciej, a tym samym zatrzymuje więcej wartości odżywczych. Najlepsze byłoby oczywiście suszenie mechaniczne. Mamy w województwie bydgoskim kilka suszarń mechanicznych, ale jeszcze tego mało. Najlepszym rozwiązaniem byłyby suszarnie ruchome. Wtedy, wyobraźcie sobie, wjeżdża na wasze łąki taka suszarnia i w bardzo krótkim czasie trawa z łąk całego zrzeszenia zostaje wysuszona, pocięta i w workach złożona do magazynu.

O, to już nie chłopi z głuszy za lasami i bagnami, słuchają pilnie, tłumiąc kaszel i chrząkanie. Suszarka na kołach, maszyna taka? A to ci dopiero, ten i ów oczyma wyobraźni widzi już na łąkach mechaniczną suszarnię, jak jedzie w niepogodę i w mig oddaje im suche, „zielone złoto".

Gawęda coraz bardziej przemienia się w naradę produkcyjną, we wspólne, dalekosiężne planowanie.

Melioracje zaprowadzone, ale trzeba je konserwować. Chłopi wybierają „gospodarza" od urządzeń wodnych na łąkach.

Zebranie kończy się. Ktoś nagle przypomina, że jutro odbędzie się w gromadzie pierwsze zebranie przdwyborcze. Jakież ożywienie. Sypią się pytania.

— Wy tam z województwa, nie wiecie, kto przyjedzie?

Kto? Żeby kandydat na posła! Jego by my chcieli zobaczyć, bo jest co u nas pokazać!

Z ciżby głosów wydobywa się wreszcie głos Markowskiego:

— Dla nas prezd wojną wybory — to co? Żaden rząd nas nie obchodził, bo żaden dla nas niczego nie zrobił. Dzisiaj to co innego! Sami my się przekonali...

— A gdyby do was jeszcze melioracja nie dotarła, to wtedy co? — pyta inspektor Romejko.

Zapanowała cisza. Dopiero po chwili zabrzmiał głos Markowskiego:

— Nie dziwcie się, my tu takie **niedowiarki**. Wiarę nam zwichnęły tamte czasy, tamte rządy. Ale przez tę meliorację to my teraz inaczej w gazetach czytamy o tym co się w kraju buduje. Ciekawość taka, że nie wiem. Pewnie, że byłoby wstyd nie wierzyć, choćby my tych zielonych łąk jeszcze nie mieli.

— O, wstyd, że z nas były takie Tomasze-niedowiarki.

Anna Jachnina

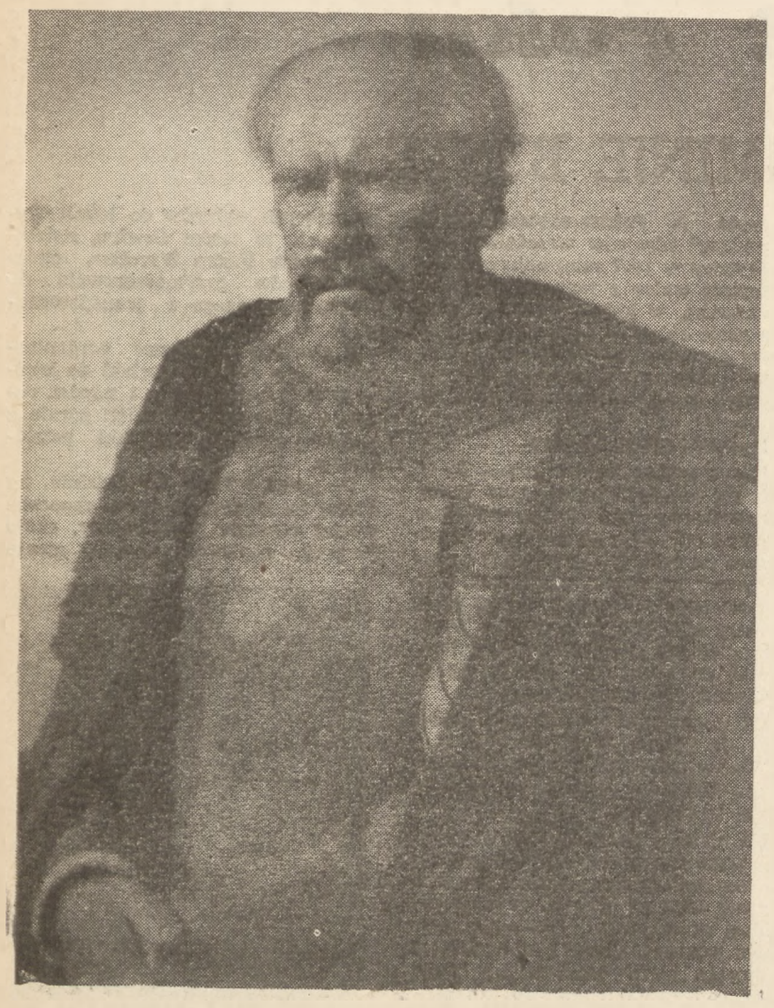

Wojciech Brydziński w roli Stefana Czarnieckiego (Teatr Domu Wojska Pol.-Warszawa)

Marsz na Przeworsk

KAZIMIERZ KORCELLI

CZARNIECKI I JEGO ŻOŁNIERZE

BUDZISZ: Konie słychać, jaśnie wielmożny panie...

Tętent przed chatą ustał. Wchodzi Czarniecki, głowę schyla w niskich drzwiach, staje i mruga powiekami, oślepiony światłem.

KANCLERZ *(posunął się krok):* Witaj, mości kasztelanie!

CZARNIECKI: Kanclerz koronny w moich skromnych progach! Zaszczyt to dla mnie... *(w stronę Chrząstowskiego)* Czołem. Siadajcie, wasze moście!

KANCLERZ: Król dowiedział się, panie kasztelanie, żeś przybył...

CZARNIECKI: Nocą przybyłem, mości kanclerzu i nie chciałem króla jegomości niepokoić. Za dnia miałem się wybrać, służby moje polecając...

KANCLERZ: Gdy dano znać, że wasza miłość już pod Gdańsk podciągasz, król jegomość nie mógł z niecierpliwości wytrzymać i przysłał tu pana podsędka krakowskiego *(wskazuje na Chrząstowskiego, który kłania się w pas)* i rozkazał, aby cię z wielką ceremonią do miasta wprowadził. Z panem podsędkiem i ja się wybrałem, chcąc powitać tak sławnego wojownika i mnie znajomego. Wieści też chciałem wcześniej zasięgnąć, bo od kilku niedziel w Gdańsku zamknięci na bałamutne jeno plotki zdani byliśmy...

CZARNIECKI: Pobity nieprzyjaciel szwedzki nową burzę szykuje, do ligi wchodząc z siedmiogrodzkim Rakoczym i z Brandenburczykiem. Uderzą lada chwila. Wiozę listy do króla od jejmość królowej i od senatorów. Mam niepłonną nadzieję, że burza ta znów o pierś polską się rozbije. To już nie jest ubiegły rok, dziś wojsko mamy, które szkołę zwycięstwa przeszło. Ale siadajcie wasze moście...

KANCLERZ: Najjaśniejszy król życzy sobie, abyś bez zwłoki do Gdańska wkroczył...

CHRZĄSTOWSKI *(kłaniając się w pas):* Tłumy mieszkańców z pochodniami na ulicach Gdańska czekają cię, jaśnie wielmożny regimentarzu, wojowniku niezwyciężony!...

KANCLERZ: Rzeczywiście, miasto całe mimo nocy na nogach, gdy wieść się rozeszła, żeś przybył. Kościoły mają przykazane w dzwony bić, bo król chce cię jako zwycięzcę witać!...

CZARNIECKI *(głowę skłonił, chwilę milczy).*

ANDRZEJ *(wszedł i wyprężył się przy drzwiach):* Mości regimentarzu, ognie jakoweś widać w mieście i poruszenie, wiatr odgłos dzwonów niesie...

CZARNIECKI *(zamyślony):* Tak... Słuchaj no, Jarząb, trzeba nam będzie ruszyć zaraz... *(ze zdziwieniem do Chrząstowskiego):* Co waści?

CHRZĄSTOWSKI *(patrząc na Andrzeja):* Mości regimentarzu!! To...

CZARNIECKI *(szorstko):* Czego waść?

CHRZĄSTOWSKI: Nazywa się Jarząb! Jarząb... Jak ja mogłem?... Mości regimentarzu, na Boga! pozwól mi mówić!... To mój zbiegły chłop...

CZARNIECKI *(zmarszczył brwi):* Pod moją jest teraz komendą, czego waść tu wrzeszczysz?

CHRZĄSTOWSKI *(złożył ręce):* Pozwól! mości regimentarzu! *(odwraca się):* Jaśnie wielmożny kanclerzu, błagam, pozwólcie mi mówić...

CZARNIECKI *(wciąż ze zmarszczoną brwią):* Mów waść. Tylko zwięźle, nie mamy czasu...

CHRZĄSTOWSKI: Jarząb!... *(uderzył się w czoło)* że to nazwisko z pamięci mi wypadło, gdyśmy się ostatni raz widzieli!...

ANDRZEJ: Ostatni raz widzieliśmy się, jaśnie wielmożny panie, pod Krakowem, w namiocie króla szwedzkiego... Stałeś przy majestacie szwedzkim...

CHRZĄSTOWSKI: Fałsz!

ANDRZEJ: Ja z tego namiotu bez ręki wyszedłem!

CZARNIECKI *(srogo patrząc na Chrząstowskiego):* Zamilcz waść! Zbiegły czy niezbiegły chłop, pod moją regimentarską inkwizycją jest teraz! Na najbliższym sejmie o szlachectwo jego ja sam się upomnę!...

CHRZĄSTOWSKI: Nigdy!!

CZARNIECKI *(o pół kroku się cofnął):* Co waść?... pijanyś?!

(dokończcaie aktu IV)

CHRZĄSTOWSKI: Mości regimentarzu! Mości kanclerzu! Ja go oskarżam! To nie tylko zbiegły chłop, ale zbój i buntownik przeciw najjaśniejszemu królowi!! przeciw Rzeczypospolitej!! Na Boga Wszechmogącego klnę się, że prawdę mówię!...

CZARNIECKI *(głową potrząsnął):* Co to?... Jarząb, co to jest?

ANDRZEJ *(głucho):* Pytaj mnie, jaśnie wielmożny regimentarzu!

CZARNIECKI: Czego ten człek od ciebie chce? Byłeś jego poddany?

CHRZĄSTOWSKI: Po kolei! po kolei! regimentarzu! ja mam tu akta... *(gorączkowo wyciągnął plik papierów).* Od lat go szukam... On urwał się katu!

CZARNIECKI *(do Andrzeja):* Co to wszystko ma znaczyć? Skąd ty właściwie jesteś?

ANDRZEJ *(po chwili):* Z Czarnego Dunajca.

CHRZĄSTOWSKI *(uderzywszy ręką w rozpostarte papiery, wrzasnął):* Właśnie. Z Czarnego Dunajca! Wasze miłoście! herszt wbity został na pal! pomocnik jego poćwiartowany! drugi ścięty!... ten uszedł katu... Tak jest, wasze miłoście, onże jest z bandy Kostka Napierskiego! zbój i buntownik przeciw królowi i Rzeczypospolitej!

CZARNIECKI *(cicho):* Jarząb?

ANDRZEJ: Tak.

CZARNIECKI: Jarząb...

ANDRZEJ: ...Bo w niewoli nie mogłem żyć. *(patrzy na Chrząstowskiego).* Psią krwią nas panowie nazywają, a barzy swoje psy niż nas poważają! No, jak ja mogłem w tym poniżeniu... *(w stronę Czarnieckiego).* Przeciem człowiek...

CZARNIECKI *(patrzy na Jarząba i ciężko siada przy stole):* ...

ANDRZEJ: ...I dlatego ino, żem w niewoli żyć nie umiał, gdy Szwed przyszedł za broń chwyciłem... Ino dlatego, żem w niewoli nie mógł...

Milczenie. Przy stole, na którym jarzą się świece, trzej panowie siedzą tak, jakby uformował się sąd: kanclerz w środku, obok Czarniecki, z drugiej strony kanclerza stoi Chrząstowski mający przed sobą rozłożone akta, Andrzej posunął się o krok bliżej i stoi.

CHRZĄSTOWSKI: Jaśnie wielmożny kanclerzu, czy prawa Rzeczypospolitej w tym królestwie obowiązują?

KANCLERZ: Toż to fundament państwa.

CHRZĄSTOWSKI: Jako podsędek generalny krakowski sprawę od lat miałem w aktach...

CZARNIECKI *(porywczo):* Masz, mości sędzio, wyrok?

CHRZĄSTOWSKI *(tonem urzędowym):* Zrazu nie wydano wyroku, ponieważ po lasach gromadziły się kupy zbrojne, nie chcieliśmy drażnić pospólstwa, wyrokowi sprawiedliwości oddając jeno hersztów głównych, potem sprawa przeciągnęła się. Dziś trafi wznawia ten proces. Primo: o udział w buncie Napierskiego go oskarżam, secundo o zbiegostwo z mojej wsi, dokąd przychodząc do dziewki swojej przez rok i sześć niedziel przebywał, co według uchwał sejmików szlacheckich w moje poddaństwo go oddaje, tertio: gdy po ucieczce z buntu Kostki Napierskiego w żupach solnych w Wieliczce pracował, nowy gotował bunt, za co na plagi skazany, uciekł...

KANCLERZ *(groźnie):* Prawda to?

ANDRZEJ: Zarządca królewski okradał skarb, ludzi katował...

CHRZĄSTOWSKI: Mam tu dokument podpisany przez onego zarządcę...

KANCLERZ *(patrząc w stronę Czarnieckiego):* Są więc i dowody?... *(i wyciągnął rękę po dokument, zmarszczył brwi):* Co to ma znaczyć?

CHRZĄSTOWSKI *(niepewnym głosem):* Hrabia Wrzeszczowicz podpisał...

CZARNIECKI *(aż podskoczył):* Kat niewiast i dzieci! Zdzierca kościołów! Pierwszy zdrajca! W służbie króla szwedzkiego od początku inwazji!...

CHRZĄSTOWSKI: Mimo to według praw naszych obwiniony Andrzej Jarząb do lochu powinien iść, by czekać wyroku sprawiedliwości...

BUDZISZ *(wstał wtedy i wolnym krokiem zbliżył się do stołu, mowi do Andrzeja):* Bracie!...

BUDZISZ: I jam stary żołnierz! *(zrzucił z pleców kożuch):* Bracie mój!... *(i widzą wszyscy, że nie ma prawej ręki, pusty wisi rękaw).*

CZARNIECKI *(poruszony):* Bez ręki! Bez prawej ręki!...

BUDZISZ *(ukłonił się):* Jaśnie wielmożni panowie! tak jest, bez ręki. Mówiłem, żem pod panem Weyherem przeciw Szwedom wojował... I oto znak! My nie herbowi i bez nazwisk... I więcej jest w Polsce tak naznaczonych chłopów!... *(do Chrząstowskiego):* Jaśnie wielmożny sędzia chce nas do lochu i ręce skrępować... to tylko jedną rękę krępujcie, bo drugą wziął Szwed!...

Milczenie. Cisza się zrobiła, tylko z sąsiedniej izby mruczy ktoś piosenkę: „A w Raduni krwawa woda..."

CZARNIECKI *(głosem rozbitym mówi wolno, jakby próbował sam z własnej rozterki znaleźć drogę):* Pozwolcie, wasze miłoście... Lud ten przecie, gdy Szwed przyszedł... *(spotkał się z chłodnym spojrzeniem kanclerza, więc jakby mu odpowiadając):* Sam miłościwy król przed boskim ołtarzem w katedrze lwowskiej śluby czynił, że ludowi temu, który w opresji i poniżeniu dotychczas...

KANCLERZ *(przerywa, zimno):* Śluby królewskie?... Wybacz, kasztelanie... *(z akcentem nieco gorzkim):* Rzeczpospolita ma jeszcze swoją szlachtę i panów senatorów.

CHRZĄSTOWSKI *(nastroszony i surowy)...* I fundamentalne prawa swoje!

CZARNIECKI *(cicho, coraz bardziej hamując wybuch):* Dosyć!... *(głos urywa mu się co słowo):* Starym... ciało całe mam w bliznach!... Nie zliczysz ran... Jak pies waruję u granic!... i tyle lat!... O! nie żałowali mnie panowie i nie na obelgi, którą by mnie...! Żem prosty szlachcic i po buławę chciał sięgać!!... Krępowali mi ręce, podbijali nogi...!

KANCLERZ *(otworzył usta):* ...

CZARNIECKI: Dosyć! Ja mam teraz wojnę!! I mnie są potrzebni żołnierze... Jam odpowiedzialny, czy wróg granic nie naruszy!... *(patrzy na groźne twarze Andrzeja i Budzisza):* Z kim przeciw nieprzyjacielowi wyjdę w pole? *(z gestem w stronę Chrząstowskiego, gwałtownie):* Ze zdrajcami?!...

CHRZĄSTOWSKI *(nasrożył się groźnie):* Mości regi...

CZARNIECKI *(w pięść zwinął dłoń na stole, aż stół jęknął; z wybuchem tak długo tłumionym):* Dosyć!! Dla mnieś zdrajca!

Chrząstowski jak rażony opadł na krzesło.

CZARNIECKI *(ciężko oddychając):* Mamy wojnę, mości kanclerzu, i kto zacny jeno wyjdzie w pole!...

ROTMISTRZ *(wpada):* Tłum z pochodniami tu wali! I dzwony cię witają, mości regimentarzu!...

CZARNIECKI *(patrząc na rotmistrza, na Andrzeja, na Budzisza):* Moi żołnierze...

Rotmistrz patrząc na niego, jak w tęczę, wyszarpnął szablę do góry; Andrzej lewicą wyszarpnął swoją; Kanclerz podszedł do okna i pchnął je.

Drzwi są szeroko otwarte, za drzwiami i za oknem tłum; zbrojni i cywilni, z pochodniami; widać głęboko drugi plan; niektórzy podnieśli szable do góry, widać i kosy, włócznie. Głosy mówiące z chłopska, raczej szum tłumu za drzwiami: „Czarniecki... Czarniecki... nasz hetman..."

CZARNIECKI: A gdy nieprzyjaciel wojnę nam szykuje, u granic Rzeczypospolitej mur żywy wyrośnie. Mości kanclerzu, idę do króla... *(nieco zgarbiony rusza ku drzwiom).*

Tłum się rozstępuje wtedy, robiąc długą, pustą drogę; drogą tą idzie Czarniecki, w ciszy biją triumfalnie dzwony).

KONIEC AKTU IV I OSTATNIEGO

Kazimierz Korcelli.

MARCELINA GRABOWSKA

„SERCE MI PĘKAŁO"

TOCZY się tu jak w innych częściach Polski batalia o przeobrażenie wsi, które gęstą siecią rozłożyły się wokół Przeworska. Jeden z najbardziej zaludnionych powiatów, o słabym przemyśle uwalnia się od tradycji — na razie masową ucieczką młodych. Komitet Powiatowy Partii bije się jednak o to, co na miejscu może dać prężnym siłom możność rozwoju: spółdzielnie produkcyjne.

Oporne: „jako za ojców bywało" słabnie pod atakiem sprawozdań z wycieczek delegatów do Związku Radzieckiego, ale przede wszystkim pod naciskiem tej właśnie — młodych — ucieczki — mówi do mnie średnio zamożny gospodarz: — Czego ja się będę trzymał tego kawałka ziemi — jeśli ona synowi wydaje się już za mała? Może spółdzielnia da mu to, czego szuka w mieście.

Wiele bowiem dróg otwiera się młodym i rodzice chcąc zatrzymać przy sobie dzieci muszą otworzyć wrota nowemu, aby syn czy córka — rwąc się ku temu nowemu, dlatego że jest lepsze — nie odchodzili daleko. „Dziś — nie trudno odpowiedzieć sobie na pytanie: co robić? Kiedy my byliśmy młodzi — nie tak przecie dawno — odpowiedzieć na to pytanie było niemożliwe".

Przed wojną nie było do czego się brać, kiedy ziemia nie mogła żywić. Niekiedy można było zarobić wyplataniem koszyków, czy w sąsiednich folwarkach, ale wszystko razem nie uwalniało od ciężaru nędzy. Podawało w niewolę panów Lubomirskich, Turnauów, de Campów, których dobra szeroko otoczyły miasto; uczyło uległości wobec księdza, bo mógł poprzeć starania o robotę w cukrowni i wobec bogatszego chłopa, bo mógł poratować pożyczką, kiedy sekwestrator wyciągał krowę za zaległe podatki. Rosła z tego jednak tylko nowa niewola, bo procenty od pożyczek nie pozwalały spłacić samej sumy. „Za pańszczyzny tak chłopu nie bywało, jak teraz" — mawiał wtedy stary Fołta

Pamięć okresu, w którym nędza pchnęła chłopa do walki — nie pozostawiając mu innego wyjścia — trwa jeszcze żywo w tych stronach, żyje też obraz marszu na miasto, ze wszystkimi szczegółami. Jego uczestnicy i jego przywódcy — wtedy młodzi wiciowi działacze — dziś są w pełni sił męskich.

*

Jeden z tutejszych działaczy opowiada:

„We wrześniu 1931 roku nie dopuszczono chłopów na uroczystość dożynek do Markowej, barykadując przejazdy w Łańcucie, zagradzając drogę jadącym Latem 1932 roku policja granatowa zaczęła udaremniać odbywanie zebrań, a wiosną 1933 w powiecie łańcuckim rozwiązano wiele kół wiciowych, między innymi w Grodzisku, gdzie skasowano Dom Ludowy, pobudowany jeszcze pod zaborcą austriackim. W tym stanie rzeczy nastrój bojowy wzmagał się co dnia, a nastawienie do opozycji **legalnej**, tworzone przez prawicowych kierowników ludowcowych nie znajdowało posłuchu. Chłopi — chcieli czynu, a uchwalone rezolucje na wiecach były tylko świstkiem nic nie znaczącego papieru. W takim nastroju poczęła się wiosna 1933 roku, która uzewnętrzniła się rewolucyjnym rzeszowskim czerwcem, gdzie chłopi czynnie zaatakowali sanacyjno - kapitalistyczny aparat ucisku".

Zaczęło się od wypadków w Kozodrzy. Chłopi przegnali ze wsi naprzód sekwestratora Rachwała, a potem pod komendą Ludwika Wanata policję, którą tenże Rachwał przyprowadził dla poparcia zachwianego autorytetu władzy. Kozodrzę otoczyła opieka chłopów; z bliskich powiatów przywędrowali gromadnie, zaopatrzeni w chleb na obozowanie i w drągi, kosy, koła na odparcie spodziewanego ataku.

Święto Ludowe w tym roku przypadło na dzień 4 czerwca i znacznie powiększyło gromadę, pilnującą bezpieczeństwa Kozodrzy. Ludzie ściągnęli z dalekich nawet powiatów; władze czuły się zmuszone do kompromisowej interwencji. Przyjechał sam wicewojewoda i posłowie ludowi Stachnik i Piróg. Obietnicami i podstępami skłonili chłopów do rozejścia.

Wnet wykryło się, co warte były obietnice wicewojewody i argumenty posłów. Wbrew zapewnieniom zaczęły się aresztowania, bicie, rewizje, niszczące dobytek. W odpowiedzi chłopi urządzali burzliwe wiece. I na jednym z nich w Nockowie ci sami posłowie zostali dotkliwie pobici, kiedy znowu próbowali łgać i klajstrować.

Od Kozodrzy zaczęło się wrzenie, od Nockowej przelew krwi. Zdobyte doświadczenie uodporniło chłopów przeciw gołosłownym zapewnieniom, więc zaczęto do nich strzelać. Tak już jednak wzrosła zawziętość gnębionych, że na nic nie zważali, aby tylko pokazać swój gniew i siłę.

Sytuacja rewolucyjna dochodziła szczytowego punktu. Pod Grodziskiem nastąpiło starcie tysięcy chłopów, maszerujących na Łańcut i nagromadzonej przeciw nim policji i wojska. Bitwa trwała kilka dni.

*

Wiadomość o niej przyniósł nocą goniec do Bud Łańcuckich. Poniesiono ją do Gaci.

Gać — niezbyt daleko położoną od Przeworska upamiętnił uniwerstytet ludowy, założony przez Solarza. Uniwerstytet na Górce wydał wielu działaczy, jego wychowankowie cieszyli się szacunkiem i uznaniem. Nie tylko bowiem kształcił umysły ale także urabiał charaktery. Jednego tylko nie dawał, co w tych czasach było najważniejsze: **świadomości walki z ustrojem krzywdy.**

W bliskiej Soninie mieszkał wyrobnik kowalski, Nycz. Założona przez niego komórka KPP rozpowszechniała ulotki i pisma. Te już ukazywały sprawę chłopską jasno, bez osłonek. I pokazywały jedyne jej rozwiązanie. Wpływy komunistyczne ważyły się z wpływami Solarza.

Kiedy Cebulak, członek zarządu Wici, przyniósł do sekretarza Fołty wiadomość o bitwie w Grodzisku, ten poszukał przewodniczącego Świetlika, potem razem pojechali na rowerach do Markowej, do Cwynara. Ważące się wpływy wywołują u nich bezradność. Nie mogą się zdecydować: poprzeć bezpośrednio rewolucję, czy wejść z władzami w układy.

Postanowili zaalarmować okolicę — nie wszystkich, tylko tych, którzy na pewno nie trzymali z prawicowym kierownictwem Stronnictwa Ludowego. I członków Wici, bardziej radykalnych. W nocy odbyć wielką naradę w Nowosielcach, w domu Słysza.

Rozbiegli się gońcy po wsiach Pędzili na rowerach do Świętoniowej, Studziana, Dębowa, Żurawiczek, Mirocina. Dotarli nawet do Rozborza z drugiej strony Przeworska. Sam Fołta zawiadomił Białoboki, Ostrów, Mikulice i Gać. Tylko do Gniewczyna i Gorliczyna nikt nie dotarł.

W organizowaniu nowosieleckiej narady znać technikę konspiracji partyjnej i nielegalności. O miejscu narady wiedziało bowiem tylko niewielu. W każdej wsi wyznaczano punkt, w którym mieli się zebrać jej mieszkańcy. Stąd dopiero pod osłoną nocy prowadzili kierownicy na wiadome sobie miejsce. Nowosielce otoczyły liczne czujki, sprawdzające tych, którzy się zbliżali.

Narada trwała całą noc. Walczyły z sobą dwie koncepcje. Jedna: iść z pomocą Grodziskowi, druga: maszerować na Przeworsk, aby wystąpiła delegacja do starosty z żądaniami chłopskimi.

Zwolennicy drugiej koncepcji argumentowali w ten sposób: iść na Grodzisk znaczyłoby zacieśnić ramy rewolucji. Grodzisk to przecie wieś. A w Przeworsku siedzi starosta. Od niego można żądać i zaprzestania pacyfikacji i przesłania na ręce rządu ułożonej rezolucji.

*

Nazajutrz o dziewiątej rano ściągnęło kilka tysięcy ludzi ku studzianskim łąkom. Rozdzwoniły się telefoniczne druty: starosta przeworski zawiadomił o zagrożeniu miasta, prosił o pomoc. Chłopi zdyscyplinowanymi czwórkami wybijali kurz na drodze. Na Mleczce, rzece, płynącej pod Przeworskiem, formowała się tyraliera policji. Zbliżający się do mostu zobaczyli skierowane w swoją stronę lufy, błysk bagnetów w słońcu.

Zatrzymali się; do mostu podeszła tylko wybrana w nocy delegacja: Piotr Świetlik z Soniny, Cwynar Jan z Markowej. Brożbar Tadeusz z Gaci i Kojder Władysław z Grześkiej.

Delegaci poszli do miasta, do starosty Popiela. Reszta rozsiadła się w cieniu olch na długie czekanie. Nie pozostawiono jej w spokoju. Ciągle krążyły wokoło pancerne auta, polatywały nad nimi samoloty, zrzucały ulotki. Próbowano strachem i argumentami zachwiać postawę czekających.

Odezwa do ludności:

...Spokojna ludność wiejska jest świadkiem uwijania się agitatorów..." i dalej: „Pędzcie agitatorów od siebie i nie dajcie się nakłaniać do nierozważnych kroków".

Dziś jeszcze śmieją się wspominający tamten moment i tamte słowa. — Patrzyliśmy tylko jeden na drugiego. Kto z nas jest agitatorem, a kto wywrotowcem? Znaliśmy się wszyscy dobrze, każdy z nas był jednym i drugim. Ale do „nierozważnych kroków" popychało nas tylko to, że już nie można było wytrzymać.

W starostwie rozmawiała delegacja z Popielem, w obecności ściągniętego z lwowskiego województwa naczelnika bezpieczeństwa, Sochańskiego. Starosta sypał grzecznościami, na wszystko się zgadzał. „Zdjąć pacyfikację z Grodziska?" Już telefonuje. Jest mile zaskoczony tym, że komuniści okazali się tacy mili, całkiem ich sobie inaczej wyobrażał. Udawał strwożonego dwunastu punktami, szły za daleko, bo aż do zniesienia karteli i zmiany konstytucji. „No jakże ja to przedstawię ministrowi?!" Ale niemniej obiecał przedstawić, a jakże! i natychmiast zawiadomić, kiedy tylko nadejdzie odpowiedź.

W tej jednak chwili wszedł komendant policji. Starosta podniósł się — skończyło się dyplomatyzowanie. Wejście komendanta oznaczało, że posiłki nadeszły.

Na żądanie, aby nikt z biorących udział w marszu nie został aresztowany, odpowiedział niecierpliwie: „Dobrze, dobrze". Odprowadził delegację, jadąc za nią powoli autem, był świadkiem sprawozdania, złożonego czekającym. A potem szybko i niespodziewanie odjechał. Na gotujących się już do powrotu „zwycięzców" szła szarża policji.

Opowiadając o tej chwili przywódcy Marszu z dumą podkreślają, że chłopi nie przestraszyli się, nie załamali. Na komendę: „Lewa wolna!" — skupili się tylko na skraju drogi, nie zmieniając szyku. I konni przejechali koło nich, nie ważyli się zaczepić.

Podobny manewr nastąpił niedaleko białobockiego folwarku. Tu idących zaatakowali ułani. Zamiast wrogiego starcia nastąpiła jednak wymiana okrzyków: „Niech żyje polski żołnierz!" „Niech żyje chłop polski!"

„Kiedy wieczorem o tym wszystkim rozmyślałem — mówi Piotr Świetlik, organizator marszu — **serce mi pękało,** bo zdawałem sobie z tego sprawę, że karność chłopów, ich na wszystko zdecydowanie, nie zostały wyzyskane jak należało. Myśląc o okrzykach, jakimi nas witali żołnierze, żałowałem sytuacji,

(Dokończenie na str. 7)

JAN DANECKI

Pionierzy kultury w terenie

KIEDY we wszystkich stronach kraju — jak Polska długa i szeroka w wielkiej bitwie wyborczej znalazła wyraz rosnąca dojrzałość mas do rządzenia krajem, na myśl przychodzą głębokie słowa Stalina, że

„...rozwój kulturalny klasy robotniczej i mas pracujących chłopstwa — nie tylko w sensie rozwoju elementarnej oświaty, aczkolwiek elementarna oświata stanowi podstawę wszelkiej kultury — ale przede wszystkim w sensie NABYCIA NAWYKÓW I UMIEJĘTNOŚCI WNIKANIA W SPRAWY RZĄDZENIA KRAJEM — stanowi podstawową dźwignię usprawnienia aparatu państwowego i wszelkiego innego aparatu. Na tym polega sens i znaczenie leninowskiego hasła rewolucji kulturalnej".

Przez nasze gromady i gminy, przez dziesiątki tysięcy polskich wsi, jakie by one nie były, małe czy duże, mniej lub więcej „zabite deskami", biegną wielkie, nieustające akcje gospodarcze — kontraktacje, planowy skup zboża, planowe dostawy mięsa i mleka. Nie znajdziecie dziś wsi, która nie miałaby realnego, dostosowanego do lokalnych potrzeb i możliwości planu gospodarczego. Nie znajdziecie dziś wsi, której przedstawiciele

J. K. Maciejewski

byliby poza GRN-em, Komitetem Spółdzielczym GS-u, Rodzicielskim przy miejscowej szkole, poza komisją kwalifikacyjną, Kołem ZSCh, ZSL-em, czy Partią. W twardej walce o podniesienie wydajności z ha, o wykonanie gromadzkich planów produkcyjnych, o nowe, wyższe formy gospodarowania, rozwiązując sprzeczności i łamiąc przeszkody — pracujące chłopstwo coraz to bardziej rozwija i doskonali równocześnie masowy ruch kulturalny na wsi — znajdując w nim najsubtelniejszy oręż w tej nowej a jakże trudnej sztuce rządzenia.

Przyjrzyjmy się wyrosłej na fali tego wielkiego ruchu milionów mas chłopskich, nowej kadrze działaczy kulturalnych, którzy w swej codziennej pracy realizują leninowskie hasło rewolucji kulturalnej.

Oto Smoniowice — wioska położona w Ziemi Miechowskiej z dala od dróg i gminy. A z tej zapadłej wioski, liczącej 78 gospodarstw wpłynęło na zeszłoroczny konkurs czytelniczy 180 wypowiedzi o książkach. To znaczy, że nie ma tam domu, skąd by nie nadeszły po 2—3 wypowiedzi. To znaczy, że zaczynając od dzieci w szkole powszechnej, a kończąc na starcach, którym na kursach zdjęto bielmo analfabetyzmu — wszyscy w gromadzie, cała wieś czyta książki, analizuje i dyskutuje. Stały się więc Smoniowice prawdziwym i pełnogromadzkim klubem czytelników i dyskutantów. Czyż nie jest to przykład, który wskazuje, jak wielkie możliwości otwarto pod tym względem *przed każdą niemal gromadą?*

W Bystrowicach, pow. Łowicz, 1 mieszkaniec czyta przeciętnie 3,5 książki na miesiąc — przeważnie fachowe książki rolnicze. W Wygiełzowie, pow. Chrzanów, książki rolnicze czytają systematycznie wszystkie kobiety. Skąd takie wielkie ożywienie ruchu czytelniczego? Bystrowice od 2 lat kontraktują stare ziemiopłody: len, konopie, cykorię, buraki cukrowe, zioła rolnicze. Nowe uprawy. Weselik, Chrabąszcz i Kożuszek kontraktują rzepak, po 1,5 ha na głowę. W chałupach na komódce, gdzie dawniej pod świętym obrazem leżał Kalendarz Mariański, „Żywot Genowefy" i „Obrazki Wielkich Patronów" — dzisiaj u nich cały stos książek i broszur z zakresu racjonalnej uprawy rzepaku, walki z jego szkodnikami, stosowania radzieckich metod agrotechnicznych i użytkowania nowoczesnych maszyn.

A w Wygiełzowie? Tam niemal wszyscy mężczyźni pracują w przemyśle — gospodarka spoczęła „na głowie" kobiet.

Dlatego to Anna Smolik, sekretarz organizacji partyjnej, mogła skupić kobiety w Kole Gospodyń i przekonać baby do książki rolniczej. Dziś w Wygiełzowie wyśmiewają każdego, kto by zalecał uprawę i hodowlę bez... książki.

Z Babicy w powiecie przemyskim donoszą chłopi: mieliśmy ziemię żytnio - ziemniaczaną, a mamy dzisiaj pszenno - buraczaną. Jak okiem sięgnąć, ciągną się plantacje buraków cukrowych. Co się stało? Zmienili ludzie gospodarowanie, zmienili siebie. I nic dziwnego, że obok książki rolniczej największą poczytnością cieszy się w Przemyskiem *„Hela traktorzystka"* — książka o dziewczynie, która też zmienia przyrodę — traktorem.

W małej osadzie rybackiej Tolkmicku rozchwytywana jest książka Łacisa „Rybacy", a chłopi z Kuźni Raciborskiej, opolskiej wsi tętniącej na nowo polskością — domagają się od pisarzy książek o Opolszczyźnie. Trzeba z tych faktów wyciągać wnioski — pisarzom, bibliotekarzom i działaczom kulturalnym.

Bibliotekarz — czołowy żołnierz walki o książkę — nie czuje się dziś osamotniony. Tworzy się około niego aktyw czytelniczy. W Łoszakowicach pow. Leszno drużyna harcerska roznosi książki po domach — w ciągu tygodnia werbując 150 czytelników, a wszystkie organizacje dopomagają w urządzaniu wystaw książki, każda reklamuje swoją dziedzinę: Koło ZSCh — rolnicze książki, ZMP — młodzieżowe, TPPR — radzieckie, Koło Czerwonego Krzyża — medyczne.

W pow. wałbrzychskim we wszystkich gminach stworzono z inicjatywy chłopów Rady Czytelnicze — dopomagają one stale bibliotekarzom we wszystkich pracach: od składania i katalogowania książek, poprzez propagandę książek w gromadach — aż do stałego systematycznego badania czytelnictwa, aby określić, na jakie książki jest największe zapotrzebowanie.

W Zaborowie, 30 km od Tarnowa, Dom Kultury obsługuje ponad 30 gromad, z których prawie każda posiada już własną świetlicę. Zaborowianie dają w nich przedstawienia teatralne, udzielają wskazówek kierownikom świetlicowym, redagują gazetkę terenową, wywieszaną w 30 gromadach i obsługiwaną przez korespondentów 36 gromad. Co poniedziałek o godzinie 16 otrzymują chłopi odpowiedzi na pytania wrzucane do „skrzynki pytań", wiszącej na ścianie Domu Kultury. Zjeżdżają tu z pytaniami i wątpliwościami ze wsi odległych często o kilkanaście kilometrów. Pytają o racjonalne metody uprawy i hodowli, o sposoby leczenia zwierząt, prawa domowego, wszelkie sprawy prawne i polityczne. W samym Zaborowie chłopi tak zasmakowali w sztuce „promieniowania" na okolicę, że na 160 mieszkańców, prawie wszyscy dorośli — 68 osób — zdobyli na kursie kwalifikacje sanitarne, aby iść w teren z pomocą lekarską.

W Sidzinie, u stóp Babiej Góry redagują chłopi gazetkę gromadzką. Posiada ona 27 stałych korespondentów a listów chłopskich liczy co miesiąc na setki.

Dzięki gazetce potrafili chłopi sami, na miejscu bez interwencji z zewnątrz załatwić wiele spraw: doprowadzili do rewizji krzywdzącej klasyfikacji gruntów, usunęli z tartaków złodziei, rozkradających chłopskie drzewo, porozbijali kumoterskie kliki, usunęli wrogów z Gminnej Rady Narodowej. Gazetka stała się w pełni kolektywnym agitatorem i organizatorem nowej chłopskiej opinii i aktywności. Obecnie toczy się na jej łamach szersza dyskusja nad śmiałym planem przebudowy gminy w dwóch od razu kierunkach: upłynnienia rezerw sił ludzkich na Ziemiach Zachodnich i do przemysłu oraz zmiany struktury rolnictwa.

W Lubniewicach na Ziemi Lubuskiej listonosz Uszkiewicz — (listonosze wiejscy — to nowy oddział zawodowych działaczy kultury) pozyskał w ciągu jednego roku 200 prenumeratorów prasy robotniczo-chłopskiej. Przypadek? Nie! Fakt ten świadczy, że w Lubniewicach dojrzały już warunki pod tak burzliwy rozwój czytelnictwa prasy. Że obecnie powinna kolej przyjść na czytelnictwo książek, na rozwój teatru amatorskiego. A jak bardzo już chłopi potrzebują teatru świadczyć może Słocin w woj. poznańskim, gdzie na występie miejscowego zespołu („Wczoraj i Przedwczoraj" Maniszewskiego) bywa po 1000 osób. Z Pawłowic w pow. jędrzejowskim jeżdżą chłopi systematycznie do Krakowa na premiery i dyskutują potem w świetlicy oglądane przedstawienia.

W województwie szczecińskim we wsi Chociwel powstała szczególnego rodzaju spółdzielnia produkcyjna. Zawiązały ją dzieci. *Same* uchwaliły statut, *same* wybrały zarząd spółdzielni, *same* zakontraktowały len i buraki w GS-ie, *same* zawarły umowę z POM-em na pomoc agrotechniczną i ze „Spółdzielnią - matką" — spółdzielnią swoich rodziców — na konie. *Same* też ustalają normy i obliczają dniówki obrachunkowe.

Wielki to eksperyment i piękny— „Poemat pedagogiczny", przeniesiony na polską ziemię.

✣

Kiedy dziś odmierzamy głębokość zachodzących przemian, kiedy wytyczamy nowe perspektywy na lata nowej 5-latki — w tym rachunku dokonań przeszłych i przyszłych, nie nie wolno nam zapomnieć roli *pionierów* socjalistycznej kultury. Trzeba ich codzienną twórczą pracę podnieść do *godności wzoru,* trzeba *szeroko upowszechniać ich doświadczenia,* tak samo jak upowszechniamy doświadczenia przodowników i racjonalizatorów w przemyśle. I tak samo — jak racjonalizatorów — otaczać *systematyczną opieką,* stwarzać dogodne warunki rozwoju, organizować to *nowe,* które wnoszą oni do skarbca narodowej kultury, bo „POLSKA JEST SILNA ŚWIADOMOŚCIĄ MAS" — przypomina nam co dnia Bolesław Bierut.

Jan Danecki

Foto — W Kraska

„Zaprzęgać konia" — grom. Wróblewo, pow. Sieradz

Foto CAF

„Zwycięstwo" — grom. Rychwałdek, woj. krakowskie

TEOFIL KOWALCZYK

Teatr w Olbrachcicach Wielkich

MINĄŁEM schludne miasteczko Ząbkowice Śląskie z ruinami piastowskiego zamczyska oraz wieżą pochyłą jak w Pizie i już znalazłem się wśród pól olbrachcickich. Obok zielonej łączki natknąłem się na kobietę, małą motyką dziobała ziemię.

— Gdzie mieszka Ragan?

— Za kościołem, tam — wskazała ręką.

— Dlaczego tak pusto u was?

— Pusto? Pewnie że pusto. Kołchoz zrobili to i wszyscy w kołchozie robią.

— Nie wszyscy — mówię. — A wy?

— Mam czas. Zobaczę w jesieni.

✣

Historia Olbrachcic zaczyna się w roku 1946. Do opuszczonej przez Niemców wsi przybywają nowi mieszkańcy. Ogromna większość z nich to chłopi polscy spod Kołomyi, ale nie brak i osiedleńców z przeludnionych wsi województwa krakowskiego. Ragan należy do tych ostatnich. Przyjechał do Olbrachcic spod Sanoka. Rodzinna jego wieś uległa zniszczeniu przez cofające się watahy hitlerowskie. W Olbrachcicach zetknęli się z przybyszami ze wsi Święty Józef, powiat Kołomyja. Ci podzielili się swoimi przeżyciami i własnym nie mniej bogatym doświadczeniem. Można by napisać gruby tom o ich życiu. Szczegóły były różne, ale jedno było wspólne — niedola. Zwłaszcza tych biednych. Ci, którzy pod Kołomyją posiadali po 15 i więcej hektarów i tu w Olbrachcicach zamknęli się we własnym świecie chociaż objęli w posiadanie gospodarstwa nie większe od 5 hektarów. — Przeczekamy — mówili i mówią. I marzą o powrocie do Świętego Józefa. Do spółdzielni produkcyjnej nie wstąpili. Kobieta, która wskazała mi dom Ragana należy właśnie do nich.

Życie w Olbrachcicach nie ułożyło się łatwo. Istnieje ludowe powiedzenie, że bogatemu i byk się ocieli, a biednemu nawet krowa nie chce. Tak zaczęło się dziać i w Olbrachcicach. Ci bogaci otrzymali i domy lepsze i pokaźniejszy inwentarz. Ragan mieszka w starym i małym domu. Jest krawcem, pracuje sam. Nie przewalało się u niego. Tymczasem dawni bogacze ze Świętego Józefa, zaczęli porastać w piórka. Mieli tęgie woły — sprzedawali je pokątnym rzeźnikom z Ząbkowic a nabywali konie z przydziałów UNRRA choć im nie przysługiwały. Sołtysem był ich człowiek. Ruchliwsi, bardziej otrzaskani, potrafili dogadać się z kierownikami dawnych wydziałów rolnych, którzy przez palce patrzyli na ich interesy i — fałszowali formularze spisowe inwentarza. Inwentarz w tych formularzach zmniejszał się ustawicznie. Gdy przyszło płacić okazało się, że płacą mniej niż ci, którzy tak licznego i doborowego inwentarza nie otrzymali. Gomółka głosił, że uspółdzielczenia wsi nie będzie — więc krzątano się zachłannie, zarobić jak najwięcej. Mimo, że w Olbrachcicach nie było gospodarstw mniejszych ani większych od 4 — 5 ha wyrastać zaczęła warstwa zamożnych chłopów. Posiadali konie, zaopatrzyli się w maszyny wyszabrowane w innych wsiach i zaczęli je użyczać chętnym za grubą opłatą. Nie chodziło im o odrobek, którego z braku większego obszaru ziemi nie potrzebowali. Chodziło o zwiększenie dochodowości gospodarstwa kosztem sąsiada. Formowała się swoista na Ziemiach Zachodnich metoda wyzysku, opartego na lepszej technicznie bazie gospodarczej — przy równych areałach ziemi. Biedacy ujrzeli, że historia ich losu zaczyna się powtarzać. Część dochodu uzyskanego z ziemi oddawali wzamian za używanie maszyn — bogatym. Antagonizmy rosły. Powszechne wyjaśnianie przez organizacje partyjne metody wyzysku biedniaka przez kułaka drogą odrobku nie przekonywały w Olbrachcicach, ponieważ tego odrobku tu nie stosowano. Na szczeblu gromadzkim, a nawet gminnym nie potrafiono im uzmysłowić, że posiadacz 5 ha, posiadający jednak park maszyn rolniczych jest wyzyskiwaczem w stosunku do takiegoż posiadacza, który nie ma nawet wołu do obróbki ziemi, a takich spotykano często. Do powiatu mimo 2 km. odległości było wtedy daleko, bardzo daleko. Zrodziło się pytanie: co robić?

Rząd wydał ustawę o pomocy sąsiedzkiej. Okazała się bardzo na czasie. Ale ustawa — ustawą, a życie — życiem. Próbowano ją stosować — owszem. Zarząd gminy kierował odpowiednie nakazy, ale wtedy okazało się nagle, że maszynom brakuje odpowiednich części. Żniwiarki posiadały połamane noże, albo poprzetrącane grabki, siewniki zatykały się, a konie chorowały. I to właśnie akurat po skończonych robotach u tych bogatych. No cóż? Maszyna się zużywa i psuje, konie mogą chorować. W praktyce równało się to torpedowaniu ustawy, by w ten sposób pomoc Rządu dla biedniaków zredukować do zera, a tym samym ułatwić bogacenie się spekulantów, którzy już i tak zarobili na wołach i fałszowaniu spisów inwentarzowych. Wójt gminy rozkładał ręce i wydawał nowe nakazy, a czas upływał. Ziemia nie lubi czekać. Wobec takiego stanu rzeczy biedniejsi szli na kompromis. Układano się indywidualnie z posiadaczami maszyn o koszta ich naprawy. Tym samym wzrastała już cena udzielonej pomocy, która wyrównała bogaczom tzw „straty", wynikłe z ustawy o pomocy sąsiedzkiej, przewidującej zniżoną opłatę. Po tych układach pomoc sąsiedzka ruszyła z miejsca, ale ulgi potrzebującym już nie przynosiła. Biedniacy stracili zaufanie do ustawy i wkrótce poszła w zapomnienie. W Olbrachcicach zwyciężyła na pewien czas kapitalistyczna gospodarka.

✣

Na pytanie jak doszło do powstania w Olbrachcicach zespołu teatralnego Ragon odpowiedział:

— Trudno było dalej tak żyć... jak przed wojną. Ja pod Sanokiem widziałem do czego to prowadzi. Ludziom potrzeba oświaty, a tutaj mówili już, że lepiej nie będzie. Teatr to dobra rzecz.

Tak się zaczęło.

Wyjaśnienia Ragana były proste, bez ozdób. Nawet skąpe. Namyślał się nad każdym słowem. Chętnych początkowo nie było wielu. Osiedleńcy, którzy już porośli w pióra mówili: — Po co to? Próżniactwo i rozpusta się zagnieździ. Ale Gwozda, Boniek i Salwach Józef powiedzieli: — róbcie, zobaczymy. Sala na świetlicę jest, to może być i teatr. Dlaczego ma stać pustką? Inni pokpiwali z inicjatorów, reszta zajmowała wyczekujące stanowiska. Za to młodzież zainteresowała się pomysłem gorąco. Debatowano długo co grać i wybrano **„Mundur swatem".** Przed wojną grano tę sztuczkę we wszystkich teatrach ludowych w Polsce. Miała ustaloną renomę. Nikt wtedy nie interesował się tak bardzo Olbrachcicami. Najczęściej zachodzili tu rzeźnicy z Ząbkowic i spekulanci zbożem. Ragan ze szkołą powszechną, nie bardzo rozumiał wówczas społeczny sens tej sztuki. Chciał ożywić życie kulturalne wsi, a tym samym kazać jej myśleć. Dziś już wie, że to głupia sztuka, ale wtedy wydawała mu się dobra, bo nie znał lepszych, a trudny jest wybór na pustkowiu. Sztukę wystawiono, frekwencja widzów była duża, grano ją parę razy. Ale ludzie obejrzeli, pośmiali się i wyszli. Nic o niej nie mówili. Gwozda milczał, Boniek kręcił głową. Po tygodniu ludzie o sztuce zapomnieli. Ragan i jego zespół zrozumieli, że ich praca wygląda jak kamień rzucony w wodę. Był rok 1947. Podstawowa organizacja partyjna była jeszcze słaba, ZSCh nie interesował się pracą kulturalną na wsi. Moralnego zadowolenia zespół nie miał, ale kasowo przedstawienia się opłacały. To było powodem, że nie zrezygnowali z pracy. Jako następna sztuka poszła **„Zemsta cygana"**, a po niej inne, podobne do siebie. Rozkrzewiło się uczucie potrzeby teatru, szkolił się sam zespół, nabierał scenicznego doświadczenia. Sukces kasowy był miarodajną oceną wysiłku. Była dobra kasa — znaczyło, że i sztuka jest dobra. W tym to czasie toczyła się na wsi walka o właściwe w myśl życzeń bogaczy załatwianie sprawy pomocy sąsiedzkiej. Sukcesy kasowe zespołu teatralnego były wodą na młyn tej walki. Afirmowały ją ideologicznie. Zespół był dobrze widziany u zwolenników starego porządku. Schlebiał ich dążeniom do pomnażania bogactwa kosztem innych, zacierał ostrość antagonizmów klasowych. Wpływy ze sprzedaży biletów na przedstawienia schlebiały znów zespołowi. Pieniądz stawał się miernikiem ideologii, ilością pieniądza szacowało się kulturę, forsowaną do Olbrachcic.

Dopiero rok 1950 stał się rokiem przełomu. Członkowie zespołu cieszyli się już w okolicy sławą dobrych aktorów. Zdecydowano się na wystawienie **„Szkiców węglem".** Nazwisko Sienkiewicza pociągało jak magnes. Centralna Rada Związków Zawodowych, ZSCh, a przede wszystkim Partia zwróciły uwagę na repertuar teatrów świetlicowych. Wycofywano z użytku sztuki stare, mało wartościowe, w ich miejsce podawano nowe, o innym wydźwięku ideologicznym. Zespół Ragana odnowił się. Odpłynęli ludzie związani z tym co było stare, napłynęła młodzież, która nie potrafiła swego czasu dogadać się z kierownikami wydziałów rolnych i nie szabrowała maszyn z dalszych okolic. Pierwszy rok planu sześcioletniego mobilizował masy do zwiększonych wysiłków, mówiono otwarcie o spółdzielniach produkcyjnych na wsi. Chowali głowy wyzyskiwacze, przycichali, żeby ten nowy, świeży wiatr nie obalił ich w pierwszym podmuchu. Odnowił się zapał Ragana. Widziałem i czułem — powiedział — że teraz nie będziemy już sami. Pracować trzeba, ale naszą pracę ocenią może inaczej. Gwozda, który już dawno machnął na zespół, zachęcał go znowu. — Ale powinniście grać coś lepszego niż o cyganach i mundurach — mawiał. To nam nie potrzebne. „Szkice węglem"? — Niech będą i „Szkice" byle dobre. Myślał już o spółdzielni produkcyjnej w Olbrachcicach i rozumiał już, co można zwojować i „Szkicami". Zespół zabrał się do roboty.

✣

W międzyczasie powstały już Spółdzielcze Ośrodki Maszynowe. Z ciężkim sercem oddawały tłuściochy olbrachcickie koparki, siewniki i kosiarki do SOM-ów. Kończyły się dla nich tłuste lata. Następowało wyrównanie ekonomiczne. Baza techniczna olbrachcickiego rolnictwa przechodziła na własność społeczną. Drobnotowarowa gospodarka nie mogła już przekształcać się w kapitalistyczną. Ale przy tworzeniu SOM-ów wylazła znowu z jamy zbrodnicza dusza kułacka. Większość oddanych maszyn okazała się nieużyteczna, zepsuta. Cały zebrany sprzęt musiał być poddany dokładnemu remontowi. Ragan przypomniał sobie przecięcie łączności telefonicznej pod Sanokiem. Wtedy wróg wydał wioskę na pastwę armatniego ognia. Teraz ten sam wróg narażał na straty Olbrachcice, zmuszając je niepotrzebnie do remontu maszyn, które tak niedawno trajkotały na polach. Wróg działał w sposób przemyślany, dotkliwy i wyrafinowany; zrywał łączność biedaka z zapleczem tj. SOM-em.

✣

Nad „Szkicami węglem" pracowano długo i starannie. Na próby przychodzili: Gwozda, Boniek i Krupina oraz wielu innych. Spocił się nieraz Ragan, nim zdołał jako reżyser zadowolić ich smak. Prawie równocześnie zaczęto przygotowania do wystawienia **„Przygód wojaka Szwejka".** Podczas prac nad tymi sztukami wróg również nie spał. Gasła w najpoważniejszych momentach elektryczność. Nie zdołano nigdy ustalić kto był tego sprawcą, ale stwierdzono, że wykręcano i kradziono korki przy zegarze elektrycznym w świetlicy. Ta złośliwość nie osłabiała ducha zespołu. Wiedzieli że w ich życiu zaczął się wielki zwrot. Gdy Ragan o tym mówi śmieją mu się oczy. Zbliżali się szybkim krokiem do nakreślonego celu. Za nimi stała już podstawowa organizacja partyjna, choć ZSCh jeszcze o nich nie wiedział. Ragan mówi o początkach swojej pracy z żalem, zwłaszcza o tym najtrudniejszym dla nich okresie. Gdy zespół stał się już znany i zaczął wywierać wpływ na okolicę sytuacja oczywiście się zmieniła. Teraz jest już można powiedzieć — dobrze. Wiele uczynił tu wpływ ze strony Wojewódzkiego Zarządu ZSCh. **„Szkice węglem"** olśniły Olbrachcice i sąsiednie wsie swoją prawdą i bijącym w oczy realizmem. Dwadzieścia przedstawień to nielada sukces. **„Przygody wojaka Szwejka"** — głupota despotyzmu i zbrodniczość imperializmu ,oświetlana przez chłopski rozsądek prostego żołnierza — rozjaśniły męczące ich pytania. Osiemnaście przedstawień dał wtedy zespół i utorował sobie drogę do ogólnego uznania. I tu należy szukać początków myśli o założeniu spółdzielni produkcyjnej przez Olbrachcicczan. Już wtedy ludzie zaczęli mówić: tak, znamy takich wójtów ze „Szkiców węglem", to nie fantazja, a rzetelna prawda, nie poradzisz w pojedynkę z takimi. Zanim władzę w gminach objęły prezydia rad narodowych urzędował podobny wójt i w naszej gminie. A czy w Świętym Józefie pod Kołomyją za czasów sanacyjnych nie było takiego wójta? Trwała jest chłopska pamięć i rozum potrafi analizować zjawiska społeczne zgodnie z dialektyką marksistowską. Z zadumą wychodzili ludzie z przedstawienia, a potem sprzeczali się zajadle.

— c. d. w następnym numerze

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

NASZE PRAWA

Myśmy prawa zdobyli w walce
W strajku fabryk, w pochodzie krwawym...
Darły ziemię zabitych palce:
Drukowały nasze ustawy.

Własnym zgonem, gniewem i płaczem
Wpisał lud nieśmiertelne piękno
W każde miejsce publicznych straceń
Jak w olbrzymią wieczystą księgę.

Stąd nasz kraj jest i nasza przyszłość!
W Konstytucji pola szeleszczą
Przeplecione szeroko Wisłą
I niepodległą pieśnią.

Kiedy śmierć dopadała nagła
I żelazem szarpała piersi,
Naszej Konstytucji paragraf
I artykuł powstawał pierwszy:

Władza robotnikom i chłopom!..
Słowa jasne, zwycięskie, dumne.
Wznoszą dłoń pracującą — popatrz!
Jak strojną laurami kolumnę.

NIKOŁA JONKOW WAPCAROW

Wiersze

*
* *

W tej walce idzie o śmierć albo życie.
Tu trzeba ginąć bez zmrużenia powiek.
Ja padłem. Ale w szeregach jest krycie —
co tutaj znaczy jakiś sobie człowiek!

Salwa! I zwykłym rzeczy biegiem
robaki toczyć będą ciało.
Lecz gdy powstaniesz, znowu z tobą będę
narodzie mój, ponieważ cię kochałem!

Przełożył **Franciszek Korwin**

WIOSNA

Wiosno moja, biała moja wiosno,
jeszcze nie przeżyta, nie święcona,
tylko w snach promiennych wymarzona!
Gdy przepływasz nisko nad topolą,
tu nie kończy się twój śmiały polot.

Wiosno moja, biała moja wiosno,
wiem, że przyjdziesz w deszczach, w huraganach,
w burzy strasznej, w ognistej zawiei,
że dasz odwet tysiącom nadziei,
że wymyjesz krwią zalane rany.

Hej, jak ptaki zanucą po polach!
Rade będą w przestworzach żeglować,
ludzie trudu porzucą swe bóle
i jak bracia będą się miłować.

Wiosno moja, biała moja wiosno!
Niech twój ujrzę lot triumfujący,
Gdy na placu boju legnę blady,
niechaj widzę tylko twoje słońce
i — niech skonam na twych barykadach!

Z bułgarskiego przełożył: **Zdzisław Jerzy Kempf**

NIE BÓJCIE SIĘ DZIECI

Pracujemy ciężko
od świtu do zmierzchu,
tymczasem
nie starcza nam chleba,
nie starcza nam chleba, dzieciaki.
I wasze buziaki
skrzywione są płaczu grymasem,
a wasze oczęta
szeroko otwarte
są głuche i nieme,
bo smutek w nich wszystko pogrzebał.
Zostało tylko
błaganie uparte:
chleba!
chleba!
chleba!
Posłuchajcie, dzieci,
posłuchajcie, maleńkie moje
dzisiaj jest tak,
tak samo było i wczoraj.
A ja
nakarmiłbym was z ochotą,
ale że nie ma czym,
oto:
Chociaż was wiarą
napoję.
Nadejdą lata
i my je chwycimy w swe ręce.
Dni wody wzburzone
w betonie popłyną lawiną.
Nie damy im z brzegów wystąpić —
już nie ujdą nam więcej.
Powiemy im:
„Tak macie płynąć!"
I wody posłusznie popłyną.

Będziemy mieli wtedy chleb.
Będziemy mieli chleb!

I radość wam w oczach zaświeci
pociechy małe.
Jeśli mam ja —
to znaczy, że jest i dla ciebie,
jeśli masz ty —
to znaczy, że ma i świat cały.

I życia nowego
oddychać będziemy powiewem,
a dni opleśniałe
odejdą ogromnie daleko.
Będziemy śpiewali,
będziemy pracować ze śpiewem
i w pieśniach radosnych
będziemy sławili człowieka.

A jeśli przypadkiem
nie zdołam się oprzeć starości,
przyglądać się będę przez okno,
jak w drogę daleką idziecie.
Zobaczę wasz powrót,
usłyszę okrzyki radości
i szepnę cichutko:
„O, jakże jest pięknie na świecie!"

Na pewno tak będzie!
A dzisiaj brakuje nam chleba.
I pierś waszych matek
wyschnięta jest teraz i pusta.
Narzekać? — Któż pomóc nam zechce.
Narzekać? — nie trzeba.
Jednak mnie ból ściska
i skarga się ciśnie na usta
za wasz los,
co budzi tyle serca drżeń.
Ale
nie bójcie się dzieci
o jutrzejszy
dzień.

Przełożył **Franciszek Korwin**

MAM JA OJCZYZNĘ

We dnie nad ojczystą moją ziemią
słonecznego nieba błyszczy szczyt.
W nocy ciche gwiazdy w górze drzemią,
nim je zgasi dnia nowego świt.

Lecz gdy wracam nocą niewidomą
i przestąpić mam rodzinny próg,
czuję, że za węgłem mego domu
z rewolwerem w ręku czyha wróg.

Abym wszystkich kochał tak, jak ciebie,
przy kołysce uczył mnie twój szept,
lecz gdy w sercu nienawiść pogrzebię,
kto mi, matko, wolność da i chleb.

Przełożył **Franciszek Korwin**

KAMEN KAŁCZEW

Z Ludowej Bułgarii

WIDZIAŁEM WARSZAWĘ!...

W CIĄGU zaledwie pięciu, czy sześciu lat, z ruin i zgliszcz nad Wisłą, powstało jak gdyby cudem, piękne miasto Syreny, potężne i pełne radości życia, z przestrzennymi i jasnymi fasadami, z wielkimi zielonymi parkami, przezwyciężając zniszczenie i śmierć.

W pierwszych dniach pobytu w Warszawie, pewien mój przyjaciel — Polak, zatrzymał mnie na ulicy i z niecierpliwością zapytał:

— Proszę powiedzieć, jak panu wydaje się Warszawa?

Zawahałem się, lecz odpowiedziałem szybko:

— Nie widziałem jej jeszcze.

— Jak to?

— Przecież cała obandażowana jest drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami — dodałem.

— A jednak, — ciągnął dalej Polak — ma przecież swą fizjonomię, swój styl! Jeśli nie ujrzy pan tego, znaczyłoby to, że nie widział pan nowej Polski!

I rzeczywiście, wtedy jeszcze nie odczuwałem potężnego pulsu tego ukrytego za drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami życia, który stał się sensem i treścią nowej Polski Teraz, kiedy w pamięci widzę wielopiętrowe korpusy mieszkalne, długie mosty żelazne nad Wisłą, znaną trasę W—Z, blask tramwajów, autobusów, trolejbusów, warkot tysięcy samochodów, ciągnących Marszałkowską i Nowym Światem, nie mogę nie pomyśleć o zwykłym Polaku, który pod przewodem swego rządu ludowego wykonuje te cuda i z każdym minionym dniem, bez rozgłosu, urzeczywistnia potężny, sześcioletni plan gospodarczy.

Dla wszystkich już widoczne jest tempo tego gigantycznego budownictwa, ponieważ nie nowe budynki sterczą wśród ran i zgliszcz, jak było przedtem, a przeciwnie — ruiny i zgliszcza nikną wśród nowych budynków, jako smutne pomniki niewoli faszystowskiej. I wszystko to odbywa się dokładnie tak, jak powiedziane jest w warszawskiej piosence: „...tu rośnie dom, tam rośnie dom z godziny na godzinę..."

Jeden tylko, wielki teren w Warszawie wciąż jeszcze stoi niezabudowany Nie ma takiego człowieka, przebywającego w stolicy Polski, który nie odwiedziłby tej smutnej równiny, na której widać potłuczone naczynia domowe, zardzewiałe sprężyny, połamane drzwi, klamki, a tu i ówdzie na równinie sterczą starannie ułożone sterty starych, poczerniałych przez czas, cegieł. Gdzieś w dali, przed nawpół zniszczoną bramą dawnego więzienia, wznosi się granitowy pomnik ku czci poległych Żydów. Ta ciemno - czerwona pustynia z cegły — to znane wszystkim ghetto warszawskie, gdzie w czasie okupacji hitlerowskiej zostało dosłownie żywcem spalonych i wymordowanych przeszło trzysta tysięcy niewinnych ludzi, tylko dlatego, że urodzili się oni Żydami. Z zimnym, hitlerowskim pedantyzmem, zburzone zostały jeden po drugim wszystkie domy mieszkalne, szkoły, szpitale, synagogi, ulice, place. Teren w tym miejscu nie posiada nic, co przypominałoby dawne domy. Tylko ciemny, granitowy pomnik, u stóp którego zawsze ułożone są świeże kwiaty, mówi o strasznej przeszłości i o wielkim bohaterstwie Żydów.

Barbarzyństwo hitlerowców nauczyło ludzi głęboko nienawidzieć zabójców. Bynajmniej nie przypadkowo, przyjaciel mój, z którym zwiedzałem ghetto, powiedział:

— Nie pozwolimy tego powtórzyć!

— Przecież palą i burzą oni miasta koreańskie, tak, jak palili i burzyli wasze miasta i wsie.

— Tym razem nie uda im się, nie pozwolimy!

Wpatrzeni w puste pole cegieł, rozmyślaliśmy o ostatnich wypadkach na Korei i o wojnie, którą tak starannie przygotowują bankierzy amerykańscy. I chociaż jasne było dla nas co przedstawia imperializm amerykański, jednak tutaj, na tle ghetta warszawskiego, nie mogliśmy wytłumaczyć sobie tępoty bankierów i krótkiej pamięci trumanowców. Będą próbować, być może, tak jak na Korei i przewrócą może w pustynię niektóre miasta, tak, jak zrobili to hitlerowcy w Warszawie, a jednak nie zwyciężą oni, nie uda im się przeprowadzić swych nieludzkich zamiarów, tak, jak nie udało się szakalom faszystowskim! I tak, jak oni, zginą zgnieceni i na zawsze potępieni przez uczciwych ludzi.

Walka o pokój i wola życia mocno wyrażona jest w tym odradzającym się mieście. Budowa nowych gmachów jest tylko zewnętrznym wyrazem tej woli. Za drewnianymi i żelaznymi rusztowaniami i nieotynkowanymi murami kipi zupełnie nowe polityczne i kulturalne życie, jakiego nigdy przed wyzwoleniem nie znała szlachecka Polska.

Przez cały czas mego pobytu w Polsce, nie mogłem nadziwić się temu zrywowi kulturalnemu, który ogarnął całą stolicę. Równolegle z przysłowiowym tempem budownictwa, idzie tempo życia kulturalnego. Wzruszający jest obraz, kiedy przed mokrymi jeszcze domami, gromadzą się ludzie, aby kupić bilet do teatru lub kina, kiedy, gdzieś tam między szkieletami słychać stukanie maszyny do pisania, widać półki z książkami, słychać młodzieńcze głosy studentów i uczniów, słychać tony pianina, rozlegają się melodyjne pieśni...

Miłość sztuki Polaków wyrażona jest specjalnie mocno w rekonstrukcji zabytków historycznych. Ogromne sumy wydał rząd polski na odbudowę Starego Miasta, z jego cenną pod względem architektonicznym i historycznym katedrą, i pałacami, na odbudowę zabytkowych domów Rynku itd. I oto, znów pnie się ku niebu wspaniała Kolumna Zygmunta, znów widać, wśród zieleni parku, bronzowy monument zamyślonego Mickiewicza, znów siedzi, twarzą zwrócony ku Krakowskiemu Przedmieściu genialny Kopernik, bieleje Belweder, Mariensztat; tonie w zieleni pałac wilanowski. Jakiej cierpliwości i sztuki wymaga od architektów i budowniczych warszawskich odtwarzanie każdego zgięcia, każdej linii, każdego kąta zabytków. I mimo wszystkich trudności, doskonale wykonują oni te szlachetne zadania. Znów odrodzi się stara, romantyczna Warszawa, w pełnej harmonii z nowym, socjalistycznym miastem.

Odwiedziłem szereg teatrów warszawskich i wszędzie zostałem zaskoczony bogatym realistycznym wystawieniem sztuk, które widziałem, i doskonałą grę artystów.

Cóż to za utalentowany naród!

Mówiąc o teatrach warszawskich, nie mogę nie wyrazić swego uznania dla wspaniałej gry ludowego zespołu artystycznego „Mazowsze", który na podobieństwo radzieckiego chóru „Piatnickiego" wykonuje znane pieśni ludowe i tańce.

Motywy ludowe w nowej polskiej sztuce zajmują coraz to więcej miejsca. Widać to nie tylko w tańcach i pieśniach, ale również i w nowych, współczesnych powieściach pisarzy polskich. Literaci polscy coraz to bardziej i bardziej otrząsają się z pleśni formalizmu zachodniego. Zagadnienia realizmu socjalistycznego, które nurtują nas, pisarzy bułgarskich, z niemniejszą siłą zajmują i nurtują pisarzy polskich. Wystarczy tylko przerzucić kartki „Nowej Kultury", „Twórczości" czy „Wsi", aby przekonać się jaka wielka twórczość literacka kipi dzisiaj w nowej Polsce.

Warszawa nie tylko buduje nowe mieszkania. Warszawa żyje, tworzy i walczy. Warszawa stoi dzisiaj w jednym z pierwszych szeregów i wysoko wznosi sztandar kultury i pokoju, sztandar socjalizmu.

Wieczorem, kiedy wracałem do „Bristolu", zmęczony wrażeniami, zawsze przypominałem sobie słowa mego polskiego przyjaciela:

— Nie, nigdy nie pozwolimy na powtórzenie wojny!

Przełożył z bułgarskiego
Jan Woźnicki

Nikoła Jankow Wapcarow
1909—1942

FRANCISZEK KORWIN-SZYMANOWSKI

POETA WALKI

DZIESIĘĆ lat temu, 23 lipca 1942 roku, na strzelnicy garnizonowej w Sofii salwa karabinowa plutonu egzekucyjnego przecięła życie największego poety bułgarskiego ostatnich czasów — Nikoły Wapcarowa. Razem z poetą padło pod kulami faszystowskich katów, pięciu innych działaczy Bułgarskiej Partii Komunistycznej .Egzekucja dokonana została na mocy wyroku sądu wojennego, skazującego na karę śmierci dwunastu — z tych sześciu zaocznie — spośród oskarżonych o przynależność do nielegalnej partii komunistycznej i organizowanie ruchu oporu przeciwko monarcho - faszystowskiemu rządowi i jego hitlerowskim protektorom. Wyrok był nieodwołalny. W swym ostatnim słowie na procesie Wapcarow oświadczył z dumą: „Walczyłem o szczęście swojej ojczyzny i gotów jestem dla niej umrzeć". Do ostatniej chwili zachował godność i niezłomność komunisty. Po kilkumiesięcznym więzieniu, po strasznych torturach, jakim był poddawany, oddał swe życie za sprawę, której poświęcił wszystkie swe siły i której wiernie służył do końca. Oddał swe życie w walce o wyzwolenie klasy robotniczej spod monarcho - faszystowskiego reżimu i hitlerowskiej okupacji, w okresie, o którym Georgi Dimitrow mówił, że zostanie złotymi literami zapisany w historii Bułgarskiej Partii Komunistycznej i bułgarskiego narodu. Wapcarow dobrze rozumiał istotę tej walki i zdawał sobie sprawę z ofiar, jakich ona wymaga, ale wierzył mocno, że zakończy się ona zwycięstem.

*

Nikoła Jonkow Wapcarow urodził się 24 listopada 1909 roku w miasteczku Bansko położonym u podnóża Pirinu, łańcucha górskiego rozciągającego się w południowo - zachodniej części Bułgarii. Wzrastał w kulturalnym i przenikniętym postępowymi ideami środowisku. Matka, wychowanka amerykańskiego kolegium w Samokow była z zawodu nauczycielką, ojciec działał w ruchu politycznym Macedonii, najpierw w jego rewolucyjnym nurcie, później przeszedł na pozycje wielkobułgarskiego szowinizmu. Na okres młodości poety przypada wielki wzrost świadomości rewolucyjnej wśród mas pracujących, który doprowadza do powstania ludowego w 1923 roku. Powstanie to odgrywa ogromną rolę w rozwoju ideowym Wapcarowa. W gimnazjum wstępuje do tajnego kółka politycznego, w którym zapoznaje się z literaturą marksistowską i przyswaja sobie podstawy naukowego światopoglądu. Ojciec poety niechętnym okiem śledzi rozwój radykalnych przekonań u syna i postanowił wyrwać go spod wpływu tego środowiska. Wyperswadował mu, że nie będzie miał warunków do studiów uniwersyteckich i radził zapisać się do szkoły zawodowej, która kształciła mechaników okrętowych. Wapcarowa pociągała romantyka marynarskiego życia. Zgodził się, przerwał gimnazjum i rozpoczął naukę w Szkole Mechanicznej w Warnie. Kilka lat w tej szkole spędzonych jeszcze bardziej umacnia Wapcarowa w jego przekonaniach. Mimo żelaznej dyscypliny potrafi nawiązać kontakt z działaczami komunistycznymi — otrzymuje od nich literaturę i pogłębia swą wiedzę marksistowską. Po zakończeniu kursu teoretycznego pływa po morzu Śródziemnym jako pomocnik mechanika okrętowego. W Konstantynopolu i Aleksandrii styka się oko w oko z okrucieństwem kolonialnego wyzysku i upadkiem człowieka w systemie kapitalistycznym, widzi sprzeczności kapitalizmu w ich najostrzejszej formie. Po powrocie z praktyki nie znajduje pracy w swoim zawodzie — grozi mu bezrobocie. Dzięki stosunkom ojca udaje mu się jednak dostać pracę w fabryce papieru w Koczerinowo. W tym czasie wstępuje do nielegalnej partii komunistycznej rozwija ożywioną działalność polityczną i kulturalną wśród robotników. Wydalony z fabryki przenosi się do Sofii. I znów to samo: daremne poszukiwanie pracy — uprzedzeni o jego działalności właściciele fabryk odprawiają go z niczym. Zmuszony jest przyjąć kolejno kilka ciężkich zajęć, które rujnują jego słabe zdrowie, w końcu pracuje jako palacz na lokomotywie. W Sofii z większą jeszcze siłą poświęca się Wapcarow pracy partyjnej. Agituje do wszystkich inicjowanych przez Partię akcji i demonstracji, popularyzuje uchwały i odezwy Partii, mobilizuje robotników w kampanii wyborczej, propaguje ideę paktu przyjaźni ze Związkiem Radzieckim, wreszcie, w okresie wojny, pracuje w konspiracyjnej organizacji wojskowej. Prześladowany przez władze rządowe, pozywany przez sąd, raz nawet internowany przez kilka miesięcy nigdy się nie załamuje, zawsze znajduje siły do podjęcia walki. Równolegle z pracą polityczną prowadzi Wapcarow ożywioną działalność społeczną i kulturalną. Zajmuje kierownicze stanowisko w opozycji Związku Techników, jest członkiem komitetu redakcyjnego czasopisma technicznego, sam redaguje przez pewien czas pismo literackie, kieruje amatorskim zespołem teatralnym, organizuje zespół recytacyjny, przewodniczy macedońskiemu kółku literackiemu. I tu paradoks — największy poeta bułgarski ostatnich lat zajmował się pracą literacką na marginesie swego życia, wypełnionego pracą zarobkową i działalnością społeczną i polityczną. Wapcarow napisał niewiele, ale po Christo Botewie i Christo Smirneńskim linia rozwojowa narodowej i rewolucyjnej poezji bułgarskiej wzniosła się najwyżej właśnie w jego twórczości.

*

Wapcarow jako poeta przeszedł długą drogę rozwoju. Ale nie była to droga wielkich załamań i zwrotów, wahań i poszukiwań. Młodzieńcze jego wiersze to osobista liryka: miłość, młodość, piękno przyrody, różnorodne nastroje. Są i entuzjastyczne porywy, ale służą one bezprzedmiotowym marzeniom. Na wszystkich znać brak pełnej samodzielności twórczej, tu i ówdzie ujawniają się wpływy symbolistycznej poetyki. W dojrzałych jednak ideowo i artystycznie wierszach stanął Wapcarow od razu i twardo na gruncie realizmu. Zresztą, co innego mógł uczynić poeta, który w ciągu jednej zmiany rzucał 10 ton węgla na palenisko lokomotywy. Ta okoliczność, że Wapcarow sam pracował jako robotnik i że w środowisku robotników formował swój światopogląd, pomogła mu bardzo w znalezieniu właściwej drogi, a w połączeniu z wysoką kulturą literacką i prawdziwym talentem poetyckim sprawiła, że po tej drodze szedł wcześnie i zaszedł daleko. W poezji Wapcarowa wszystko opiera się na osobistym przeżyciu, wiedza o życiu klasy robotniczej dana mu jest w bezpośrednim doświadczeniu. Ta bezpośredniość przeżycia i ostrość widzenia wespół z trafnością ideowego i artystycznego ujęcia, a wszystko przeniknięte tonem namiętnego buntu i gorącej partyjności, nadaje wierszom Wapcarowa szczególną siłę. Duży wpływ wywarła na Wapcarowa literatura rosyjska i radziecka. Puszkinowi i Gorkiemu poświęcił poeta dwa piękne wiersze, w których składa hołd wielkim mistrzom słowa i pisarzom postępu. Wapcarow znał i wysoko cenił poezję Majakowskiego, niewątpliwie wiele się od niego nauczył, z tym wszystkim nie popadł w manię bezmyślnego naśladownictwa, które zaśmieciło twórczość wielu poetów wierszydłami ostatniej klasy, nie przejął zewnętrznych cech jego poezji, ale zato doskonale uchwycił jej ideowe wartości, jej partyjność i bojowość, temperament i entuzjazm.

Jeżeli mówimy o popularności poezji Wapcarowa, to musimy podkreślić, że opiera się ona nie tylko na ideowych wartościach jego wierszy, ale także na ich wysokim artyzmie. Jednym z dużej wagi czynników, które kształtowały postawę poety, był wpływ poezji ludowej. Zewnętrznie wyraża się on w stosunku do języka, w podejmowaniu tematów z pieśni ludowych, w parafrazowaniu niektórych z tych pieśni. Przede wszystkim jednak jest on wkorzeniony w metodę twórczą, ujawnia się ona w traktowaniu tematu, prostocie i odkrywczości środków obrazowania. Na tych podstawach wyrasta realizm Wapcarowa.

W poezji swojej wszedł Wapcarow do robotniczej dzielnicy kapitalistycznego miasta i pokazał życie pod zadymionym kominami fabrycznymi niebem. Pokazał trud codziennej pracy i ciężkie jej warunki, zażartą walkę o byt i szarzyznę życia, tłum bezrobotnych przed zamkniętą bramą fabryki i twarze wygłodniałych dzieci. Zajrzał w oczy robotnika i odgadł jego myśli. Mocno dźwięczy w wierszach Wapcarowa nuta patriotyzmu, ale patriotyzm jego to patriotyzm proletariacki. Kocha poeta gorąco swą ojczystą ziemię, kocha masy robotnicze co rano spieszące do fabryk, ale nienawidzi tych, którzy odbierają im wolność i prawo do chleba. Patriotyzm jego jest w ścisłym związku z internacjonalizmem. Walki klasowej nie zamyka w granicach jednego państwa. Walczącej Hiszpanii poświęca cykl pięknych wierszy, w których wyraża solidarność z bohaterskim porywem hiszpańskich robotników.

Dominującą cechą poezji Wapcarowa jest jej optymizm. Ale optymizm ten nie opiera się na łatce bezczynności, jest to optymizm rewolucyjny, wynikający z czynnej postawy wobec kapitalistycznej rzeczywistości, taki, do jakiego daje prawo świadomość nieustępliwej walki o to, by życie stało się „piękniejsze od pieśni".

Franciszek Korwin-Szymanowski
Sofia, 1 października 1952 r.

JÓZEF RURAWSKI

TRUDNOŚCI DEBIUTU

POWIEŚĆ Zdzisława Kubalskiego*) jest nie tylko jego pierwszą książką, ale jest to także pierwsza w ogóle powieść, która wyszła z warszawskiego Koła Młodych Literatów, by służyć szerokim masom czytelników, wzbogacić ich wiedzę o życiu i kształtować ich zmysł estetyczny. Jest to zatem w pewnej mierze debiut całego Koła. Jej sukces będzie także sukcesem Koła. Jej niepowodzenie świadczyć będzie o tym, że praca Koła nie zawsze idzie jak należy.

Powieść Kubalskiego „Świt" to historia zakładania spółdzielni produkcyjnej w małej wiosce Zakrzewku, to historia kształtowania się nowej socjalistycznej świadomości wśród pracującego chłopstwa. Temat bardzo potrzebny i aktualny, ale już nie nowy. Pisał już i Niziurski „Gorące dni"" i Drożdż-Satanowska „Opowieść wierzbową", a znalazłyby się i inne powieści poruszające ten sam problem. Dlatego nie wystarczy już dziś „podjąć temat" i ukazać przebieg walki klasowej. Trzeba napisać o wsi dobrze, ukazując całą jej złożoną sytuację w dobrych, porywających obrazach literackich.

Jednakże młody autor nie zawsze potrafił stanąć na wysokości zadań nowego etapu naszej literatury. Najważniejszym błędem jest szablonowość postaci powieściowych, fakt że cała powieść zarysowana jest właściwie w dwuch kolorach: czarnym i białym. Jest to błąd z pewnością poważny choć w debiucie dość częsty, a jeśli nie wybaczalny, to w każdym razie zrozumiały, płynący z niewielkiego doświadczenia młodego pisarza. Autor nie zrezygnował z natrętnego, niezręcznego komentowania każdego ruchu i słowa bohaterów, co sprowadziło ich czyny i odczucia do kilku ogranych schematów. Nie rozwinął szerzej akcji, nie pozwolił bohaterom działać samym, a czytelnikowi nie dał możności śledzenia z napięciem całego przebiegu akcji. Poważnym niedociągnięciem jest to, że czytelnik łatwo może przewidzieć tok akcji i to nie w najogólniejszych zarysach, co świadczyłoby, że autor trafnie uchwycił klasowe wyznaczniki typowego działania postaci, ale i w szczegółach, co dowodzi, że postacie te nie mają własnej indywidualności, różnicujących ich postępowanie, lecz że kierują się tylko kilkoma publicystycznie wyabstrahowanymi schematami „klasowych odruchów", że ich czyny i reakcje psychiczne pozbawione zostały skomplikowanego bogactwa motywów i uwarunkowań właściwych realnemu życiu. „Schemat powieści nie jest zły, źle jest tylko, gdy powieść jest schematem" — mówi Ilia Erenburg, a tak niestety jest często u Kubalskiego.

Bohaterowie „Świtu" zasadę swego postępowania wykładają już na pierwszych stronach powieści. Wstępna rozmowa kułaków zarysowuje obraz układu sił we wsi — a jednocześnie — i tu właśnie tkwi niedomaganie książki — obrazy literackie dalszych jej partii nic już istotnego do tego nie dodadzą. Wiemy, że organizacja partyjna jest słaba, że kułacy będą dziłać i domyślamy się, że zostaną unieszkodliwieni.

Mimo woli przypomina się wierszyk Jurandota:

„Kułak się wyniósł, młodzi się pobrali
wszyscy się cieszą, światło się pali".

W jednym tylko punkcie pokusił się młody autor o przełamanie schematu, o zbliżenie go ku różnorodnym, bynajmniej nie układającym się po linii hurra optymistycznej publicystyki zjawiskom życia. Kułak się nie wyniósł, aczkolwiek został zdemaskowany. Jest istotnym osiągnięciem młodego autora, że potrafił dać takie iście szołochowowskie zakończenie — i to zakończenie nieźle napisane, przekonywające. Zdemaskowany Grzelak snuje dalej swe sprytne intrygi i wiele z pewnością kłopotów przyczyni jeszcze młodym spółdzielcom.

Światło nie pali się jeszcze, ponieważ Zakrzewek przewidziany jest w planie elektryfikacji dopiero na następny rok. Jeśli zaś idzie o młodych, to tutaj sprawa jest pozornie nieco bardziej skomplikowana. Rywalizacja dwóch „kawalerów" dzielnej biedniaczki Jadzi — bohatera pozytywnego — biedniaka Józka oraz zamożnego średniaka — Bronka, który aczkolwiek jest ZMP-owcem pozostaje na usługach kułaków, jest osią książkowego romansu. Dziewczyna woli Józka, póki Bronek jest wrogiem — zdaje się natomiast skłaniać na stronę Bronka, po jego zerwaniu z rodziną i zdemaskowaniu przezeń wrogiej kliki kułackiej.

Pomimo pozornego skomplikowania cała sprawa pozostaje raczej bardzo ubożuchna. Nie chodzi oczywiście wyłącznie o to, że konflikt miłosny jest tu zastąpiony konfliktem ideologicznym, lecz że autor rozegrał go na płaszczyźnie kilku moralistycznych banałów, bez umiejętności głębszego zarysowania uczuć i namiętności ludzkich. Cnota Bronka zostanie nagrodzona, Józek pocieszy się wspólną nauką z jakąś „miłą dziewczyną ze wsi". Wydaje się zresztą, że autor początkowo chciał konflikt poprowadzić inaczej, że miłość Bronka do Jadzi miała być raczej sprawą podrażnienia ambicji gospodarskiego syna uprzedzonego w konkurach przez „dziada", natomiast miłość Józka i Jadzi miała otrzymać rangę prawdziwego uczucia, łączącego ludzi o wspólnych zainteresowaniach i celach. Być może później dopiero wpadł Kubalski na pomysł, by Jadzia była czymś w rodzaju premii za budujący przełom ideologiczny Bronka. W każdym bądź razie załamanie początkowej linii, bądź zupełne zlekceważenie uczuć „prywatnych", „nie politycznych" człowieka sprawiło, że zarówno konflikt jak i jego rozwiązanie razi czytelnika płytkością i łatwością. Czytelnik nie ma powodu przejmować się perypetiami sercowymi bohaterów, skoro oni sami — może poza Bronkiem — nie zdają się przywiązywać do tego żadnej wagi. Jest to dość powszechne zjawisko w naszej nowej literaturze. Scharakteryzował je trafnie Andrzej Lam pisząc o powieściach Niziurskiego i Dróżdż-Satanowskiej: „Jest zatem misterny konflikt miłosny, ale nie ma miłości. Wskutek tego konflikt ów nie osiąga rangi konfliktu literackiego. Nie ma w nim ani prawdy życia, ani urody jednorazowego zdarzenia, a nie dziwmy się chyba naszym odbiorcom, że szukają tych wartości w literaturze i pragną patrzeć na sprawy ogólne przez pryzmat jednostkowego przeżycia" **).

Ważną sprawą powieści miała być w założeniu autora sprawa porobka Wojdyny i jego wyzwolenie z kułackiej niewoli. Sprawa została przeprowadzona nieco sensacyjnie, ale w sposób nie przekonywający czytelnika. Dziwna wydaje się zwierzęca uległość wobec gospodarza chłopaka tak inteligentnego (wskazuje na to jego pamiętnik i pęd do książki). Koleżeńska pomoc koła ZMP pozbawiona jest ludzkiego ciepła i bezpośredniości, jest naciąganą ilustracją tezy o oddziaływaniu zorganizowanej młodzieży na kułacką służbę. Zobrazowanie pracy koła ZMP to zaprzepaszczona szansa powieści. Jeden tylko moment ukazany został w żywszym nieco obrazku — opis zebrania zjednoczeniowego i roboty Grzelaka, dawnego prezesa „Wici", skierowanej przeciw ZMP. Zdawałoby się, że jest to droga, na której można pogłębić sylwetki bohaterów — właśnie polityczne — zarysować różnorodne wpływy ideologiczne, ukazać wahania i dyskusje. Autor jednak poprzestaje na banalnej, powierzchownej relacji i już do końca książki nie potrafi zrobić nic, by wykrzesać choć trochę prawdy z życia swego koła ZMP-owskiego. Załatwia wszystko zdawkowymi, biurokratycznymi relacjami o zebraniach. Stosunkowo najlepsze partie powieści odnoszą się do obrazu intryg kułackich — tutaj autor wykazał dużo pomysłowości, nieźle jest też ujęta wizyta chłopów z Zakrzewka w spółdzielni produkcyjnej. Zręcznie rozkłada tu autor relacje o życiu spółdzielców na kilka zindywidualizowanych głosów, zręcznie ukazuje reakcję pytających niespokojnie chłopów z Zakrzewka, szukających prawdy swojej przyszłości. Partie te wskazują, że młody autor ma niewątpliwe możliwości pogłębienia swej pracy literackiej, przełamania fatalnej maniery pobieżnej, publicystycznej relacji, spłycającej obraz życia.

Błędy Kubalskiego wynikają ze słabej jeszcze znajomości życia i płynącej stąd tendencji upraszczania jego treści do kilku ogólnikowych rysów. Przezwyciężenie tych błędów zależy od wytężonej pracy młodego pisarza i koleżeńskiej pomocy członków Koła Młodych, którym niedociągnięcia ambitnej książki Zdzisława Kubalskiego powinny jasno wskazać na konieczność podniesienia poziomu wspólnej pracy samokształceniowej.

Józef Rurawski

*) *Zdzisław Kubalski „Świt" — „Czytelnik" Warszawa, 1952.*

**) *Andrzej Lam „Czwarte tomy" — „Życie Literackie" nr 17 (41) 1952.*

Kronika radziecka

Czytelnicy mówią o książkach

Co roku liczne biblioteki w Związku Radzieckim organizują konferencje i dyskusje z czytelnikami. Takie narady, szczególnie w ostatnim czasie, stały się popularną, masową formą wymiany opinii czytelniczej.

Niedawno odbyła się konferencja w Pałacu Kultury przy Zakładach Samochodowych im. Stalina w Moskwie, zorganizowana przez fabryczny i rejonowy komitet Komsomołu, bibliotekę zakładową oraz filię Wszechzwiązkowej Biblioteki im. Lenina Na obradach spotkali się robotnicy, inżynierowie, technicy pracujący w zakładach im. Stalina oraz czytelnicy spoza terenu zakładów Ośrodkiem dyskusji stało się zagadnienie: „Praca i życie robotników radzieckich w literaturze pięknej". Uczestnicy wypowiadali się na temat następujących książek: A. Awdiejenki „Praca", W. Koczetowa „Żurbinowie". O Ziwa „Gorący czas", E. Worobjewa „Wysokość" i A. Bylinowa „Metalowcy". „Litieraturnaja Gazieta" z dn. 13 września rb. opublikowała teksty niektórych wystąpień. Przyjrzyjmy się głosom krytycznym radzieckiej społeczności pracującej. Pozwoli to nam ustalić, co myślą robotnicy radzieccy na temat książek, przedstawiających ich życie, pracę i walkę.

Oto wypowiedź pod charakterystycznym tytułem: „Czemu uudziłem się przy czytaniu". Pod obstrzałem znajduje się powieść A. Bylinowa „Metalowcy". Czytelnik wprawdzie podkreśla zalety powieści: opisy technologiczne i liczne udane partie, poświęcone produkcji. Zwraca też uwagę na żywo skreślone postacie stachanowców i inżynierów, lecz w całości „Metalowcy" A. Bylinowa nie wywierają silnego wrażenia. Dlaczego? „Wielu działających osób nie można od siebie rozróżnić. W przedstawieniu ludzkich uczuć spotykamy wiele rysów uproszczonych... Bohaterowie niekiedy prymitywnie wyrażają swoje uczucia... Język powieści niedbały". Jak z tej wypowiedzi wynika, powieść A. Bylinowa została skrytykowana głównie za braki w zakresie rysunku bohaterów. Brak odrębności, skąpa indywidualizacja postaci, prymitywizm uczuć i myśli — oto główne zarzuty czytelników.

Inny czytelnik woła: „Więcej uwagi trzeba udzielić życiu!" Powieść A. Awdiejenki p.t. „Praca" czyta się z trudem. Dlaczego? Książka obszerna, temat ciekawy: stosunek ludzi radzieckich do pracy. Ale rezultat mało zadawalający. Język powieści nie artystyczny, lecz gazetowy. Przewaga terminów produkcyjnych; opis produkcji jest tak szczegółowy, że miejscami przypomina podręcznik dla szkoły technicznej. Akcja rozwija się monotonnie: zaczyna się dzień, ludzie idą do pracy, następują codzienne, nie zawsze ciekawe wydarzenia, dzień się skończył, rozdział powieści także. W następnym rozdziale znowu to samo. W powieści występuje około 40 bohaterów, których niesposób zapamiętać, gdyż są nieciekawi, źle przedstawieni tak w pracy jak i w życiu osobistym. „To wszystko — konkluduje czytelnik — pozbawia książkę wyrazistości, lektura jej nie sprawia większej satysfakcji".

Sekretarz organizacji partyjnej zakładów im. Stalina w swojej wypowiedzi krytykował powieść E. Worobjewa „Wysokość" „Myślę — powiedział — że wyrażę opinię większości, jeśli zaznaczę, że literatura nasza w niedostatecznym jeszcze stopniu pokazuje pracę ludzi radzieckich, a szczególnie życie i moralność człowieka radzieckiego". Inny czytelnik, pracownik oddziału kontroli technicznej, wystąpił z wezwaniem pod adresem pisarzy: dajcie wielostronny obraz człowieka! Nasze pięciolatki — mówił czytelnik, stanowią kardynalne prawo naszego życia, a całe nasze życie podporządkowuje się wielkim zadaniom państwowym. Dlatego też nasza literatura powinna przede wszystkim ludzi w walce. Ale, żeby odtworzyć obraz żywego człowieka a nie schemat, należy przedstawić postać jak najbardziej wielostronnie. Zdaniem mówcy, „pisarz dlatego powinien się odznaczać szerokim filozoficznym horyzontem" Główną wadą omawianych książek jest niezniekształcenie życia, ale ukazywanie jego obrazu w sposób jednostronny, zubożony Walczyć z tym — oto naczelne zadanie krytyków i pisarzy

Elektromonter ze wspomnianych zakładów żądał od pisarzy, aby nie bali się ukazywać trudności. „Nie podoba mi się, że pisarze nie pokazują prawdziwych trudności nawet wtedy, kiedy mowa o okresie wojny, kiedy robotnicy ewakuowanych fabryk nieraz budowali gmachy w najgorszych warunkach i pracowali pod otwartym niebem. A czy nie ma trudności w naszym obecnym życiu? Przyjeżdża ze wsi chłopak, ma sześć klas, a tego do pracy w fabryce jest dziś za mało. Musi uczyć się w internacie za miastem, internat natomiast jest nie zawsze dobry. Czy można to pokazać? Można... Trzeba pisać prawdę, a wtedy dzieło trafi do mnie... Praca partyjników pokazana jest sztucznie, z przesadą. Taki sekretarz partii nie je, nie śpi — cały dzień biega tylko po fabryce". Czytelnik uważa, że pisarz powinien ukazywać nie jednostkę partyjną, lecz partyjny kolektyw, który prowadzi i wychowuje zakład.

Czytelnik - robotnik nawoływał pisarzy do pisania książek treściwych i sumiennej pracy nad materiałem. „Nie podoba mi się tendencja wielu naszych pisarzy do rozlewnego pisania, nie umieją pisać zwięźle". Jako przykład czytelnik wymienił „Podżegaczy" Szpanowa. W rok po „Podżegaczach" Szpanow wydał również pękatą książkę pt. „Spiskowcy" „Przy sumiennym stosunku do dzieła, materiału z obu powieści starczyłoby na dziesięć lat pracy" — zakończył czytelnik.

Większość zarzutów czytelniczych dotyczy dysproporcji w przedstawieniu spraw produkcyjnych i życia osobistego w powieściach. Tematy życia osobistego, stosunków uczuciowych między bohaterami zaciekawiają coraz żywiej ogół czytelniczy. Artykuł W. Gierasimowej pt. „Wielka miłość" w numerze 46 „Litieraturnej Gaziety" spełnił rolę przysłowiowego kija w mrowisku. W Gierasimowa wytoczyła literaturze radzieckiej ciężkie zarzuty: że pokazuje miłość bohaterów powierzchownie, że postacie tracą przez to na bogactwie indywidualnej, odrębnej charakterystyki. Rezultatem tych braków jest połowiczne ukazywanie życia osobistego ludzi radzieckich.

Artykuł wywołał liczne repliki czytelników. Redakcja pisma otrzymała liczne listy od robotników, kołchoźników, pracowników partyjnych, oficerów Czerwonej Armii. Czytelnicy pisali z najrozmaitszych miejscowości. Plon tej ciekawej korespondencji opublikowała „Litieraturnaja Gazieta" w numerze 94. Czytelnik - bibliotekarz z miejscowości Tiumen zauważa: „Pisarze niszczą w swoim bohaterze człowieka z sercem i duszą, czyniąc z niego jakiś abstrakcyjny schemat... Prawdziwa, rozumna miłość jest ogromną życiodajną siłą, która daje natchnienie, pozwala lepiej wypełnić społeczny obowiązek".

Dyskusja potrąciła o temat miłości w powieści Ażajewa „Daleko od Moskwy". Wielu czytelników nie zgodziło się z tezą W. Gierasimowej, jakoby w wymienionej powieści zabrakło indywidualizacji postaci w ich uczuciach miłosnych.

Czytelnik z Leningradu pisze o potrzebie ukazywania pełnego życia uczuciowego bohaterów powieści. „Temat miłości w literaturze jest bardzo potrzebny, ale zbyteczne i szkodliwe są drobne historie miłosne, pakowane do książki dla odświeżenia ciężkiego i nieczytelnego utworu". Czytelnik z Kazania zastanawia się nad zagadnieniem miłości i obowiązku. „Obowiązek dla radzieckiego człowieka — pisze czytelnik — jest czymś wyższym nad osobistą miłość. Obowiązek nie tylko w stosunku do ojczyzny, do społeczeństwa, ale w stosunku do rodziny, do człowieka — jest to ważny rys nowej komunistycznej moralności. Jeśli prawdziwy człowiek radziecki ma wybierać między miłością a obowiązkiem — górę bierze obowiązek Niestety, ten temat nie znalazł jeszcze pełnego opracowania w literaturze pięknej".

Inny czytelnik z Leningradu omawia różnicę między przedstawieniem miłości w literaturze burżuazyjnej i radzieckiej W literaturze burżuazyjnej miłość staje się czynnikiem egoistycznym i destrukcyjnym. U pisarzy radzieckich pomaga ludziom. Tak jest w powieści P Pawlenki „Szczęście", w „Krużylisze" Panowej, wreszcie w „Burzy" Erenburga.

Jedna z czytelniczek nie szczędzi pisarzom gorzkich zarzutów. „Odmawiając przeczytaną książkę czytelnik niejednokrotnie dziwi się i smuci, dlaczego autor tak skąpo i szaro przedstawia najpiękniejsze uczucie ludzkie — miłość? Czy życie naszego człowieka radzieckiego składa się jedynie z codziennej pracy? Czy człowiek radziecki nie potrafi dobitnie zaprezentować swych wartości, gdzie rzecz dotyczy miłości do kobiety, mężczyzny, dzieci? Dlaczego autorzy pokazują we wszystkich tych wypadkach bohaterów niezaradnych, tępych, śmiesznych? Dlaczego bohaterowie tracą naraz całą swoją inwencję, rozsądek, prostotę i urok?"

Redakcja kończy przegląd listów następującym postowiem: „Odpowiedzi czytelników na artykuł W Gierasimowej „Wielka miłość" świadczą o tym, że sprawa głębokiego i wielostronnego przedstawienia miłości w literaturze pięknej wymaga troskliwej uwagi pisarzy. Czytelnik żąda od literatury pełnego obrazu człowieka radzieckiego".

Grzegorz Timofiejew

TADEUSZ CHYBA

W Żyrardowie

W ODRÓŻNIENIU od innych miast województwa łódzkiego — Sieradza, Wielunia a nawet Piotrkowa i warszawskiego takich jak Mińsk Mazowiecki czy Garwolin — Żyrardów z miejsca robi wrażenie miasta robotniczego. Małe, wąskie uliczki, parterowe domki, liczne jeszcze prywatne sklepiki, stanowią jakby tylko przybudówkę. Zasadniczy, dominujący w pejzażu miasta motyw to — zakłady przemysłowe. I wszystko jedno — czy z Warszawy tu przyjeżdżamy, czy z Łodzi. Zobaczymy najpierw niebo nad miastem zasnute dymami a następnie wystrzelą ponad wierzchołki drzew wielkie kominy fabryczne. To miasto liczące ponad 30.000 mieszkańców w zdecydowanej większości jest robotnicze i choć to brzmi nieprawdopodobnie — jest bardziej proletariackie niż Łódź. Z tego względu nie istnieją tu sprawy oderwane od życia zakładów przemysłowych. Nie można bez tych fabryk rozpatrywać i życia kulturalnego miasta.

Żyrardów jest pupilem naszej ludowej władzy. Posiada dogodne położenie, stąd zaledwie 40 km od stolicy. Są to bardzo, że się tak wyrażę, krótkie kilometry, skoro z Żyrardowa odchodzi do Warszawy 25 pociągów elektrycznych na dobę, stąd też ciągną tu nieprzerwanie stołeczne teatry, przyjeżdżają literaci, zespoły artystyczne. Przeciętny robotnik żyrardowski widział balet Gruziński, Moskiewski Teatr Akademicki, Ludowy Teatr Czechosłowacki, słuchał Paula Robesona, kapeli Namysłowskiego, zespołu chóralnego Domu Wojska Polskiego, oglądał występy Opery i teatrów warszawskich, orientuje się wcale nie gorzej we współczesnym repertuarze widowiskowym niż warszawiak, uważany, jeżeli używać przeciętnej, za najkulturalniejszego obywatela w kraju.

Wspaniała sala „Domu Włókniarza", mogąca rywalizować z najbardziej reprezentacyjnymi w Warszawie i innych wielkich miastach — to miejsce gościnnych występów. Trafiłem właśnie na występ warszawskiego Teatru Powszechnego, który dawał „Niespokojną starość" z Wojciechem Brydzińskim, kandydatem na posła, w roli głównej. Sala wypełniona robotniczą publicznością. Są tu ci z „bielnika", są „niciarze". Wszyscy skupieni na krótką przerwę wychodzą niechętnie, nie chcąc ani na chwilę opóźniać przedstawienia...

Byłem początkowo bezkrytycznie rozentuzjazmowany bujnym życiem kulturalnym robotniczego Żyrardowa. Ze zdziwieniem słuchałem wypowiedzi o jednostajnych, nudnych w rezultacie, widowiskach Artosu. Wypowiadali się przecież robotnicy.

Lecz już drugiego dnia sprawa przedstawiła mi się inaczej. Nie chodzi o to nawet, że rozprowadzanie biletów na imprezy wyraźnie szwankuje Kto bliżej Rady Zakładowej, ten i bliżej sceny. Ten mankament zawsze można usunąć. Rzecz jednak w czym innym. Oto Żyrardów, rzecby się chciało, importuje kulturę z zewnątrz, jego własne, twórcze życie artystyczne zostało jakby zamrożone. Jeszcze na wiosnę pracował świetlicowy zespół artystyczny, brał nawet udział w Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych. Dziś go już nie ma. Doskonale przygotowane zespoły warszawskie i łódzkie mimo woli zahamowały inicjatywę lokalną.

Oczywiście istnieje tu centralne ognisko kultury — „Dom Włókniarza", pracuje sekcja teatralna, taneczna, ćwiczy chór robotniczy, odbywają się lekcje języka rosyjskiego, ale?

Szedłem przez ulice miasta z dwiema młodymi robotnicami — Jaronówną i Golędziówną. Oświadczyły mi, że żyją kulturalniej z dnia na dzień. Mieszkają daleko od miasta, wstają nad ranem, pędzą 8 — 10 km do najbliższej stacji, po południu jest to samo. Jakże uczestniczyć w pracach „Domu Włókniarza".

Oto i cały problem. Żyrardów jeszcze nie rozwiązał palącej kwestii mieszkaniowej, hotel robotniczy nie może oczywiście pomieścić tych wszystkich, którzy z dalekich nieraz wsi przybywają tu co dzień do pracy.

Chodzi o tysiące młodych ludzi, ów najmłodszy ze wszystkich proletariat, chłopskiego, biedniackiego pochodzenia. Polnymi ścieżkami, w deszcz i pogodę, przybywa do fabryk i pracuje, ale kulturalnie nadal pozostał upośledzony. Pisałem o tylu rozmaitych imprezach artystycznych, krajowych i zagranicznych. Tymczasem Helena Lipińska, robotnica chłopskiego pochodzenia, ta sama, co to już plan roczny wykonała, oświadczyła mi, że nie pamięta, kiedy była w teatrze czy kinie. Dziewczyna rozumie, że musi poczekać na mieszkanie, ale równocześnie powiada z wyraźnym żalem pod adresem Dyrekcji i Rady Zakładowej Zakładów Przemysłu Pończoszanego: „powinnyśmy wykorzystywać te godziny, kiedy czekamy na drugą zmianę". Sprawa się wyjaśnia. Związki Zawodowe wolą oczywiście prowadzić robotę kulturalną, polegającą jedynie na rozprowadzaniu biletów na importowane imprezy niż np. zadbać o założenie rozmaitych kół świetlicowych przy swoich zakładach pracy. Świetlica przyfabryczna, pozbawiona odpowiedniego sprzętu świeci pustkami, nie przyciąga „chłopskich" robotników, którzy łazikują po mieście w oczekiwaniu na pociąg.

Wysłuchiwałem na oścież zgodnych opinii robotników z miasta, dla których świetlica to miejsce na „potańcówki". Mówili ci, co żadnej imprezy nie opuścili, widzieli „Mazowsze" i najlepsze teatry warszawskie.

Czyżby tak było? Przecież obok Lipińskiej wymieniano mi nazwiska kilkunastu innych przodowników, przybyłych ze wsi. Sprawa polega na tym, że młodzież ta pozbawiona jest należytej opieki właśnie na odcinku kultury. Zakłady pracy to nie tylko wielkie hale maszyn, nie tylko sama produkcja. Dobrze wyposażona świetlica, możność zespołowego czytania, chóralnego wykonywania pieśni z rodzinnych stron — tworzą atmosferę, która sprzyja przywiązywaniu się młodego robotnika do fabryki, atmosferę kształtującą patriotyzm.

Przy Zakładach Lniarskich pracuje biblioteka. Założono ją jeszcze w 1907 roku dla... robotników. Był to wyraźny manewr ze strony fabrykanta, mający na celu szerzenie dywersji. I rzeczywiście korzystali z niej obok inteligencji lepiej sytuowani robotnicy, głównie majstrowie.

Biblioteka pracowała i w okresie międzywojennym, lecz najświeższe pozycje książkowe nie obejmowały zazwyczaj wydawnictw z XX wieku. Kraszewskiego czytano w pisowni z lat 60-tych ub. wieku. Przeważały zresztą tanie romansidła.

Dziś biblioteka liczy ponad 8000 tomów. W pierwszym półroczu br. 2100 czytelników stałych wypożyczyło w sumie 32.000 tomów. Cyfry imponujące, ale i tu odkryć można to samo niebezpieczeństwo. Przeglądałem uważnie kartoteki czytelników. Przeważnie miejscowi. I znowu brak tych z Borowinowa i Korytowa, dojeżdżających, lub dochodzących na „zmianę".

Przodujący aktyw czytelniczy stanowią robotnicy żyrardowscy i młodzież ze szkół średnich i wyższych.

Biblioteka przy Zakładach Lniarskich współzawodniczy z łódzką, im. Róży Luxemburg. Ale obydwie nie spełnią swego zadania dobrze, jeżeli zwiększą liczbę czytelników tylko z miast.

Tadeusz Chyba

„Serce mi pękało"

(Dokończenie ze str. 4)

której można było zrobić więcej, niżeśmy dokonali".

Serce mu pękało..., bo nie ogarniał całej sytuacji. Przeczuwał a nie wiedział, że w tym samym czasie, kiedy tak dumnie i nieustraszenie maszerował na czele swoich na drodze do Gaci, chłopi, którzy mieszkali z drugiej strony miasta i dlatego oderwali się wcześniej od głównego trzonu pochodu, ulegli atakowi policji i byli bici płazami szabel, popędzani końskim galopem.

Co zrobili chłopi pod jego komendą po dniu, w którym wykazali odwagę, dyscyplinę, zdecydowanie? Po dniu, w którym ich przywódcy poznali, jaką dysponują siłą? Przedstawili swoje dwanaście punktów staroście, uzyskali telefon odwołujący pacyfikację Grodziska i obietnicę, że nikt z nich nie będzie prześladowany. Dlaczego więc „serce się krajało", dlaczego „pękało z bólu" na wspomnienie przebiegu dnia?

Bo ważyły się wpływy Solarza i Nycza. Z pouczenia jednego szły kompromisy, drugi budził świadomość, co one są naprawdę warte.

Prawdziwe skutki marszu stały się powszechnie widome dopiero nazajutrz. Członkowie delegacji zostali zaaresztowani. Protesty, powoływanie się na słowo starosty budziły drwiny i śmiech. Wsie otoczono wojskiem i policją, chwytano ludzi w domach, w polu, przeczesywano łany zbóż szukając tych, którzy chcieli się ukryć. Nie było ucieczki od kary.

A Solarz nadal wierzył, że znajdzie sprawiedliwość w istniejącym ustroju. Zbierał pilnie dowody krzywdy, jeździł po wsiach, słuchał i spisywał opowiadania. Z zebranym materiałem pojechał do Mościckiego. Naiwnie oddzielał postępowanie starosty od zamierzeń głowy burżuazyjnego państwa.

— I naturalnie nic nie osiągnął; z gruntu fałszywą bowiem drogą szedł każdy, kto konieczność rewolucji chciał zamienić na nadzieję kompromisu — kończy swe wspomnienia Piotr Świetlik.

Marcelina Grabowska

JAN KOPROWSKI

W Opolu i województwie

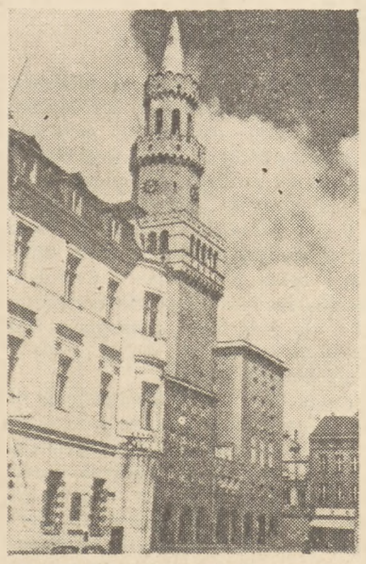

OPOLE położone nad Odrą, ciche piękne miasto, jakby wymarzone dla pracy naukowej, od chwili gdy zaawansowało na siedzibę województwa, nabrało większego rozmachu i stało się żywym ośrodkiem kultury. Myślę, że warto tu zwrócić uwagę na fakt, jak wielkie znaczenie dla rozwoju każdego miasta ma jego awans administracyjny. Opole jest klasycznym tego przykładem. Pojawił się tutaj dziennik „Trybuna Opolska", odgrywający niezwykle ważną rolę w życiu zarówno miasta jak i całego województwa. Z jednej strony bowiem dziennik ten pomaga społeczeństwu w budowie nowego życia, stanowi ogniwo uświadamiające, mobilizuje do realizacji zadań, które stawia przed całym narodem rząd i partia, a drugiej zaś — odkrywa piękno Opolszczyzny, ukazuje walkę ludu śląskiego o wolność, wiąże rewolucyjną przeszłość z rewolucyjną ludową teraźniejszością i przyszłością. „Trybuna Opolska", która w najbliższym czasie uruchomi stały tygodniowy dodatek kulturalny, skupia już dziś wokół siebie pokaźną liczbę utalentowanych ludzi — być może przyszłych dobrych pisarzy. Warto również wspomnieć że w obecnej chwili nakładem „Trybuny" ukazało się kilka interesujących książeczek, m. in. Ryszarda Hajduka „Kartki z przeszłości Ziemi Opolskiej", Marii Klimas Brahutowej „Kobiety Ziemi Opolskiej" i Jana Baranowicza „Chłopska pieśń walki i zwycięstwa" — o osiągnięciach wsi powojennej na tym terenie.

Niemałą rolę w upowszechnieniu kultury spełnia Opolska Orkiestra Symfoniczna, dająca systematycznie koncerty, zbliżająca ludność Opola do muzyki polskiej oraz Wojewódzka Spółdzielnia Pracy Muzyków im. Stanisława Moniuszki mająca duże zasługi w pracy na terenie świetlicowym. To właśnie staraniem i nakładem tej spółdzielni ukazał się złożony z dwu części „Śpiewnik Opolski", przeznaczony dla zespołów świetlicowych i obejmujący dorobek ludowy w pieśni na przestrzeni wielu lat. Ma to szczególne znaczenie dziś, kiedy ziemie zachodnie zespalają się z macierzą tworząc coraz bardziej jednolity organizm państwowy. Wydobycie wszystkiego, co cenne, z przeszłości i powiązanie tego z naszymi zdobyczami tworzy podwalinę pod socjalistyczną ogólnonarodową kulturę.

Myślę, że nie dość jeszcze zdajemy sobie sprawę z wagi teatru, z jego roli i znaczenia dla terenu. Państwowy Teatr Ziemi Opolskiej bije pod względem częstotliwości wyjazdów rekordy wszystkich innych teatrów w Polsce. W wędrówkach moich spotykałem ten teatr niejednokrotnie w powiatowym miasteczku, na wsi i w spółdzielni produkcyjnej. Teatr Ziemi Opolskiej częściej występuje w terenie, niż w Opolu. O kolosalnej jego robocie polityczno-wychowawczej wartoby napisać oddzielnie.

I wreszcie, zanim pójdziemy w województwo, wspomnijmy o pracach wykopaliskowych, prowadzonych w Opolu. Odkrycie tutaj wczesnopolskiej osady z X wieku ma niebywałe znaczenie dla poznania kultury i dziejów tej części Śląska. Badania rozpoczęte w jesieni 1947 roku posunęły się już bardzo daleko. W wyniku tej pracy powstanie w Opolu wielkie muzeum historyczne, którego zbiory świadczyć będą o niewątpliwej polskości tych ziem, o tym, że powrót na te ziemie Polski Ludowej jest aktem wielkiej dziejowej sprawiedliwości.

Rola Opola, jako miasta wojewódzkiego, promieniującego na cały teren śląski, wzrośnie jeszcze, gdy powstanie tutaj wyższa uczelnia typu humanistycznego, przewidziana w przyszłym planie pięcioletnim. Opole stanie się ważnym ogniskiem kultury w naszym kraju.

*

We wsi Chocianowice młoda nauczycielka i zarazem kierowniczka szkoły Maria Magiera, przygotowuje występy dzieci na uroczystości i akademie. Dba o bibliotekę i czytelnictwo w szkole i poza szkołą. Troszczy się o młodzież pozaszkolną.

Są w Chocianowicach ludzie, którzy jej w tej pracy pomagają. Przede wszystkim prezes gromadzkiego koła ZSCh — Wilhelm Morawiec. Rozmawiałem z nim o książkach i czytelnictwie. Mówi piękną, nie skażoną germanizmami, mową śląską.

— My tu — powiedział wtedy — czytamy, książka u nas nie leży pod ławą. Ale my do was pisarzy mamy prośbę, cobyście pisali i o nas, o naszych bojach o tę Polskę nową, co nam się narodziła. Ja bych chciał, cobyście tu do nas przyjechali, posłuchali naszych gadek i o nas i dla nas napisali.

Wilhelm Morawiec przoduje również w pracy gospodarskiej i społecznej. Pocieszającą wiadomością jest fakt, że przełamuje się na wsi opolskiej tzw. samotnictwo działacza kulturalnego i oświatowego. Magiera nie jest sama i Morawiec nie jest sam. Dołącza się do nich Leon Kotera — osadnik, jeden z przodujących rolników Chocianowic, dołącza się także ZMP owiec Jan Porębski z Zagłębia Dąbrowskiego. Do Chocianowic przyjeżdża z Olesna zespół świetlicowy Powiatowego Domu Kultury. Chocianowice nie są same, przychodzi im z pomocą powiat.

*

W Gogolinie kierownik szkoły, Stefan Żurek też nie jest sam. Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej autochton Krybus i lekarz miejscowy Czosnykowski są jego najbliższymi towarzyszami w pracy kulturalnej. Doktor Czosnykowski, to człowiek, którego życie dostarczyłoby materiału do najbardziej frapującej powieści. W Gogolinie każde dziecko mówi mu „dzień dobry", każdy mieszkaniec chętnie z nim porozmawia. Czosnykowski przyjechał na Opolszczyznę zza Buga, ale tak się zrósł z ziemią opolską, ze swoim Gogolinem, że — jak sam mówi — nie ma zamiaru ruszać się stąd. Dawniej, by coś zdziałać by coś osiągnąć, trzeba było wędrować do wielkich miast. Dziś Polska przychodzi ze swoimi zdobyczami do każdej wsi i miasteczka. Czosnykowski nie tylko leczy, udziela porad i wskazówek. Czosnykowski działa społecznie, jest aktywistą w dziedzinie kulturalnego podnoszenia poziomu wsi.

Nie możemy się rozstać z nim. Rozmawiamy do późnego wieczora. Opowiada o samorodnych, wyrosłych z ludu talentach; wyjechali z Gogolina na naukę do Krakowa i innych miast. Wskazuje na potrzeby. — Za mało piszecie o naszej tutaj pracy. A tu się wiele robi. Przyjeżdżajcie, nie każcie na siebie czekać tak długo. My chcemy prowadzić z wami rozmowy o kulturze. Chcemy poznać was, ale chcemy również, byście i wy nas poznali, nasze życie i nasze potrzeby.

*

Członkom spółdzielni produkcyjnej w Zębowicach wręczyliśmy biblioteczkę złożoną z 63 tomów klasyków i współczesnych polskich i obcych pisarzy — dar Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Przedstawiciele chłopów: Rajmund Rorbach i Józef Sochor odbierając książki zapewniali nas, że będą sobie cenić tę pamięć o nich i utrwalą ją jak należy. Na nasze pytanie, jak sobie to wyobrażają, odpowiedzieli:

— Przeczytamy to wszystko i napiszemy wam, co nam się podobało, a co nie i co pragnęlibyśmy jeszcze przeczytać.

Nam o to właśnie chodziło. Jeśli książka ma spełnić swoją rolę, to jasne, że musi być i przeczytana i oceniona. W ten sposób będziemy wiedzieli, co myślą spółdzielcy w Zębowicach i mieszkańcy tych miast i wsi opolskich, gdzieśmy takie biblioteczki pozostawiali, o naszej pracy, o naszych wierszach i powieściach.

*

Czy było dawniej do pomyślenia, żeby w małej osadzie stanęła uczelnia typu licealnego wraz ze świetnie wyposażoną bursą i internatem? A w Sławięcicach, małej wsi, mieści się liceum chemiczne, liczące 800 słuchaczy. Młodzież ta, pochodząca zresztą z obszarów całej Polski, odgrywa wielką rolę, nie tylko jako przyszła kadra pracowników zakładów i instytucji naukowych. Już dziś spełniają oni ważne zadania, po pierwsze: jako roznosiciele kultury i wiedzy na swoim terenie, po wtóre: jako ośrodek cementujący i zespalający ludność napływową z ludnością miejscową. To ostatnie zagadnienie, które nie wszędzie jeszcze zostało należycie postawione i rozwiązane, jest jednym z najistotniejszych dla naszych ziem zachodnich, przede wszystkim zaś Opolszczyzny i Mazur. I tutaj trzeba zwrócić oczy na młodzież, wchodzącą w życie bez obciążeń i reliktów przeszłościowych. Młodzież na Opolszczyźnie stanowi piękny przykład zespalania się autochtonów z Macierzą, młodzież ta widzi i wie na pewno, że Polskę Ludową, która dała jej wolność, możność kształcenia się i awansu w każdym zakresie, że taką Polskę trzeba kochać, i o taką Polskę trzeba walczyć na każdym terenie i w każdej sytuacji.

Jan Koprowski

IRENA SCHEUR

Czytelnicy o książkach

Książka żyje w człowieku

PRZYZWYCZAJENI jesteśmy, że o książkach wypowiadają się na łamach pism, zwłaszcza literackich wyłącznie „zawodowi" krytycy, niewiele stosunkowo pisało się u nas o masowym czytelniku, jeszcze rzadziej on sam wypowiadał się w prasie. Poza tygodnikiem „Wieś" i prasą samopomocową na ogół głucho było o dorocznych konkursach czytelniczych. A przecież chodzi tu już nawet nie o tysiące, lecz o dziesiątki tysięcy czytelników, doznających najrozmaitszych wzruszeń pod wpływem książki, wyciągających z lektury nadspodziewanie słuszne i ciekawe wnioski, mogące w równym stopniu pomóc krytykowi co i pisarzowi.

Z chłopskimi wypowiedziami na temat przeczytanych książek jest tak, że przeczyta się kilka pierwszych z brzegu, a potem już się od nich oderwać nie można, tak silnie pasjonują i wciągają.

Dwie zwłaszcza sprawy wysuwają się na czoło jeśli chodzi o sposób w jaki przeżywa książkę masowy, chłopski jej czytelnik. Pierwsza to — prawidłowe wiązanie treści książki z bieżącą sytuacją, choćby nawet dotyczyła ona minionych już lat.

Władysława Ziental, chłopka ze wsi podkrakowskiej pisze o książce Niekrasowa „W okopach Stalingradu": „Najważniejsze wydarzenie opisane w książce to napad na Stalingrad. Bo właśnie taka ciężka klęska była i w naszym kraju, niszcząc nam najpiękniejsze miasto, naszą stolicę Warszawę. Wiemy co to znaczy wojna, wiemy co to znaczy głód i chłód. I właśnie wtedy była zacięta walka. Ale nie pozwolono wrogowi zająć miasta. Stalingrad został ocalony, a hitlerowskie Niemcy musiały się cofnąć do swego kraju. Ale to było i nasze zwycięstwo, bo bez niego nie mielibyśmy dzisiejszych praw i dlatego wdzięczni jesteśmy Związkowi Radzieckiemu".

Rozumiemy, że w pamięci chłopów, którzy jak i cały naród, przeszli wojnę i faszystowską okupację, żyje nadal świetne zwycięstwo radzieckiego oręża, które otworzyło nową epokę w życiu Polaków. Ale, co ważniejsze — książki opowiadające nawet o zamierzchłych wydarzeniach dają czytelnikowi chłopskiemu okazję do odkrycia analogii w bieżącej, aktualnej sytuacji politycznej.

Stanisław Augustyniak ze wsi Smoniowice (Miechowskie), chłop po trzech zaledwie oddziałach starej, tradycyjnej szkółki ludowej pisze na marginesie „Krzyżaków" o złamaniu pychy i potęgi najeźdźcy, który uważał się za niepokonanego. „Tych średniowiecznych, okrutnych imperialistów pokonali Polacy, Rusini, Czesi i Litwini". A na zakończenie dodaje: „Dzisiaj w Korei Amerykanie też się doczekają za te okrutne zbrodnie, niewinnie przelaną krew. Przyjdzie na nich kres za ich szydercze występki jak na Krzyżaków. Ludzie miast i wsi pragną pokoju, bo wszyscy wiedzą co znaczy wojna".

Foto — CAF

O czym świadczą te wypowiedzi? Krótko mówiąc o dużej świadomości politycznej masowego czytelnika chłopskiego. Dziennikarz konserwatywnego „Czasu" wyśmiewał w „Weselu" Wyspiańskiego Czepca, kiedy twierdził, że chłop swoim rozumem i do Chin trafi. W naszych ludowych warunkach czytający chłop wykazuje dowodnie, że nie są mu obce międzynarodowe wydarzenia. Książka prowadzi go do samodzielnych wniosków, aktualizujących poznane problemy. Porównanie Krzyżaków z agresją amerykańską na Korei wymaga głębokiego przemyślenia, jasnego rozumienia procesów historycznych, zdania sobie dokładnie sprawy z tego, że wspólny wysiłek narodów, pragnących pokoju, prowadzących sprawiedliwą wojnę, musi doprowadzić do zwycięstwa.

Kiedy nasz chłop mówi o wyzysku w systemie kapitalistycznym, to przeszkody w rozumieniu sytuacji świata pracy na drugiej półkuli, gdzieś w zamorskich krajach — nie znajduje. Oto wzruszająca wypowiedź Katarzyny Jesionka, biedniaczki z Zaborowa, w związku z „Chatą Wuja Toma": „U nas też tak było, że biedna matka musiała oddać dziecko do bogacza, aby pasło świnie zamiast posłać do szkoły. I my byliśmy murzynami". A następnie akcent dumy i radości: „dziś nasi synowie i córki mogą się uczyć i stanąć na wysokich stanowiskach jak np. inżyniera, oficera itp.",

*

A teraz sprawa druga. Uderza wyraźnie różnica między czytelniczą a „oficjalną", zawodową reakcją na książkę. „Urzędowy" krytyk musi się „oddzielić", „usamodzielnić", oderwać niejako od dzieła, aby — jak twierdzi — swobodnie o nim pisać. Obładowany bagażem wiedzy teoretycznej, „aparatem naukowym" — jak sam często powiada, gubi zwykłą, niejako codzienną, praktyczną wiedzę o życiu, zaprzepaszcza szereg doświadczeń społecznych, bez wprowadzenia których trudno zaiste ocenić masową użyteczność książki. Z chłopskim czytelnikiem jest akurat odwrotnie. Wypowiada się o książce właśnie wtedy, kiedy się od niej nie oddziela, kiedy żyje z nią jak z dobrym sąsiadem w swojej gromadzie.

Czytają nazwiska bohaterów literackich — Deczyński, Krzysiak, Rakoczy, Plewa, Janko Muzykant, jakby to byli dobrzy znajomi, nie fikcyjne postacie, lecz rzeczywiście żyjące. Przy takim doznawaniu perypetii bohaterów, jakby oni rzeczywiście żyli, możliwe jest wprowadzenie wielu interesujących refleksji ze strony czytelnika chłopskiego.

Helena Pietrasikowa z Igołomii w ten sposób pisze o „Opowieści o prawdziwym człowieku": „Opowieść wzruszyła mnie głęboko. Los lotnika radzieckiego, pozbawionego nóg w walce powietrznej pobudził mnie do łez. Wraz z nim cieszyłam się możnością chodzenia za pomocą protez i możliwością walczenia z powrotem dla obrony ojczyzny. Chciałabym go poznać osobiście".

A więc żywa postać, którą można poznać osobiście! Mimo woli narzuca się uwaga: złej książki, sztucznego bohatera czytelnik tak szczerze i bezpośrednio nie przeżyje, nie będą go cieszyły lub smuciły jego losy. Pełny, plastycznie odmalowany bohater literacki a nie „ankieta personalna" stanowi podstawę najserdeczniejszego związku czytelnika z książką. Jakże często nie wystarcza to krytykowi!

Lektura wypowiedzi konkursowych prowadzi do wniosku, że należy silniej powiązać oficjalną krytykę ze swoistą, terenową recenzją masowego czytelnika.

Chodzi tu nie tylko o to, że nasz czytelnik w wypadku trudności w rozumieniu problemów książki, szukał będzie pomocy u krytyka. Idzie także o to, że „oddzielony od dzieła" krytyk, kiedy oddzieli się równocześnie od mas czytelniczych, dla których przecież pisze się książki, zawiśnie w próżni, to go setki tysięcy czytających ludzi podeprze wiedzą o życiu, bez której nie wyobrażają sobie mówienia o literaturze.

Irena Scheur

LUDWIKA LACHTAROWA

Chlewmistrzyni

DAWNIEJ przed wojną byłam służącą, gdyż od 13-go roku życia straciłam rodziców i musiałam pracować sama na siebie. Pracowałam po majątkach jako posyłka, później u gospodarzy jako służąca. Nie łatwe było moje życie i nie radosne.

W r 1945 po wyzwoleniu wyszłam za mąż. Dostaliśmy 5 ha ziemi z reformy rolnej. Pracowaliśmy na niej przez 3 lata z mężem do czasu założenia spółdzielni produkcyjnej w naszej gromadzie.

Nie było łatwe założenie tej spółdzielni, ponieważ przeszkadzali nam kułacy, puszczali różne plotki, że my nie będziemy w spółdzielni mieli chleba, że będziemy mieli wspólny kocioł, że nie dostaniemy pieniędzy, że nie będziemy mieli nawet jednej sukni, a tylko kombinezon na cały rok i jak nam się ten podrze, to dopiero dostaniemy drugi. Na takie plotki jednak nie zważałam, ponieważ byłam pewna, że to co wytycza nasza partia i do czego prowadzi nasz Rząd Ludowy robotniczo-chłopski, nie może być złe dla nas, musi być lepsze i jest lepsze! To są fakty. Toteż nie zważając na to, jako pierwsza z kobiet zapisałam się na członka spółdzielni produkcyjnej.

Dwa lata pracowałam w polu na roli. Później, ponieważ nie było nikogo w chlewni, podjęłam się pracować jako chlewmistrzyni. Kiedy obejmowałam chlewnię, liczyła ona 38 sztuk świń, w tym jeden knur i trzy maciory, reszta to były wszystkie prosiaki 8-tygodniowe. Dzięki mojej pracy, którą się mogę poszczycić, podniosłam hodowlę na 72 sztuki z tym, że już mamy plan żywca odstawiony 67 kg ponad plan i do końca roku jeszcze kilka bekonów odejdzie.

Jestem z tego dumna. O ile przed wojną wstydziłam się, że jestem służącą, wstydziłam się o tym powiedzieć, o tyle dzisiaj dumna jestem i szczycę się moją pracą jako chlewmistrzyni, że mnie powierzono taki obowiązek i że mogę podnieść produkcję i dać miastu w ten sposób więcej tłuszczu i więcej mięsa.

Ostatnio my, kobiety, w ramach Frontu Narodowego, podjęłyśmy zobowiązanie w akcji siewnej jesiennej i zakończyłyśmy ją zamiast w 6 dniach w 4 dniach. Również podjęłyśmy akcję wykopkową i zamiast w 10 dniach chcemy ukończyć ją w 9 dniach. Chcemy zmobilizować wszystkie siły robocze naszych mężów, którzy nie lubią zbierać kartofli, że to nie jest praca dla mężczyzny, ale my ich pociągamy za sobą i oni muszą iść z nami; my z nimi a oni z nami.

Do tego czasu ani jednego kłosa nie zmarnowaliśmy.

Nasza spółdzielnia plan wszystkich dostaw obowiązkowych wobec państwa wykonała w stu procentach. Odstawiliśmy 8 ton zboża ponad plan!

Z dostawy kartofli wywiążemy się w stu procentach i odstawimy również ponad plan, co da naprawdę wielkie zadowolenie dla miast i fabryk. My to rozumiemy i śpieszymy się, żeby dostarczyć jak najwięcej wam tej żywności do fabryk i hut, żebyście nie byli głodni i cieszymy się, że wy macie pełny żołądek, jak my. Dawniej bowiem i my byliśmy głodni i harowaliśmy o pustym żołądku. Dziś tego już nie ma!

Wykonamy Plan 6-letni, a przez to, co leży nam na sercu!

Ludwika Lachtarowa
Spółdz. prod. Wolica
woj. bydgoskie

J. K.. Maciejewski

FRANCISZEK SNIEG

W powiecie Sławno-obwód nr 105

BYŁO jeszcze szaro, kiedy wyborcy już wychodzili na drogę, i wyglądali, czy wozy z podwórek zajeżdżają pod szkołę, skąd wszyscy mieliśmy wspólnie jechać gromadą. Byli między nami również wyborcy 18-letni: nauczycielka Teresa Drabiuk ze swym przyszłym mężem Janem Kasickim i dwóch braci Kępińskich — Czesław i Edward, traktorzyści, co wyrabiali 135 proc. normy przez całe lato. Oni w swym życiu po raz pierwszy mieli oddać swe głosy. Byli też starcy i ciężarne kobiety — po nich, że nie mogli jechać z nami na wozach, przybył samochód pod sam próg, bo chcieli brać udział w wyborach.

Ze wszystkich stron nadjeżdżały wozy pięknie udekorowane zielenią, szturmówkami, transparentami, a na czele pierwszych wozów wszędzie widniał portret pierwszego kandydata Narodu, Prezydenta Bolesława Bieruta. A choć nie widniało nazwisko Prezydenta na naszych kartach, ale widzieliśmy Go na portrecie, czuliśmy jakby żywą postać pośród nas.

W lokalu wyborczym w Bobrowicach już o godz. 6.30 pełno było ludzi wewnątrz i wokół szkoły, bo wszyscy chcieli być pierwsi przy urnie. Oddawaliśmy bowiem głosy nie pod strachem, nie pod terrorem pałki policyjnej tak jak to było za rządów sanacyjnych w 1935 r. Sam pamiętam takie głosowanie w pow. Nisko, woj. rzeszowskiego. Dziś głosy nasze oddaliśmy z serca, wiedząc na co i na kogo głosujemy. Dziś my nie pachołkowie i pańskie lizusy, żeby głosować za obszarnikami i fabrykantami, albo jak głupi za kiełbasę i wódkę. Dziś u nas wszystkich była jedna myśl i jedna radość: jeśli kochasz nasz kraj ojczysty i naszą Ziemię Koszalińską, jeśli pragniesz Polski silnej, niepodległej i szczęśliwej oddaj swój głos na listę Frontu Narodowego za takimi kandydatami na posłów, jak: Wacław Lewikowski, Maciej Elczewski, Zofia Kulińska, Helena Janowska, Stanisław Pingielski, Jan Kocot, Aleksander Kieloch. Za nimi oddaliśmy nasze głosy. Bo są to ludzie spośród nas, są to ludzie, którzy swoim życiem i pracą dla Polski, dowiedli że nie zawiodą zaufania narodu, że pozostaną wierni woli swych wyborców, że nie będą szczędzić sił dla dobra ojczyzny i szczęścia człowieka pracy. Wszyscy oddaliśmy głos do urny wyborczej bez żadnych skreśleń ani dopisów. Bo i kogo było skreślać? Przecież wszyscy kandydaci to znajomi, spośród nas. Słyszałem, jak chłop, liczący chyba 80 lat mówił do drugiego:—Tę Zofię Kulińską ze spółdzielni produkcyjnej Masłowice znam. Z biedy to wyszło, sierotą była, u bogaczy służyła, a cudów w tak młodym wieku dokonała w spółdzielni. Rozum ma, serce ma i wytrwałość. Takich kobiet dawniej nie było.

O godz. 12-tej 95 proc. ludności oddało swe głosy, a o godzinie 13.00 skończyło się już głosowanie w lokalu nr 105, a to dlatego, że wszyscy chcieli być pierwsi. Jesteśmy dumni bez granic z posłów, których wybraliśmy. Ten dzień pozostanie dla nas pamiętny na długie lata, bo ten dzień wzmocnił i okrył dumą nasz Front Narodowy. W tym dniu zamanifestowaliśmy raz na zawsze, że jesteśmy silni i zjednoczeni w budowaniu nowej Polski.

Franciszek Śnieg

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7
Tel.: Red. Nacz. 727-86 Tel.: Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze
RSW „PRASA" Warszawa Marszałkowska 3/5 3-B-26584